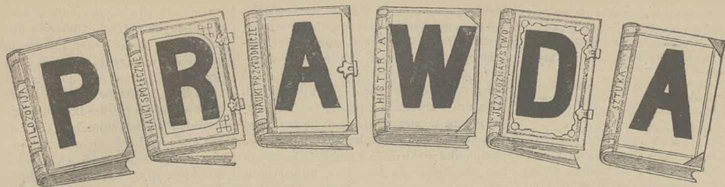
Nr. 15. Warszawa, dnia 30 Marca (11 Kwietnia) 1896 r. Rok XVI.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

„Cosas de Francia."

Od pierwszej chwili swego istnienia ministeryum p. Bourgeois uczy się na sobie samem tej prawdy, że życie jest walką i tylko przez walkę utrzymać je można. Od lat dwudziestu, od czasów Mac-Mahona, Brogliego i owych 363 deputowanych, którzy postawą swoją ocalili rzeczpospolitą we Francyi, nie było jeszcze rządu, któryby ścigano z taką nienawiścią i zaciętym, czynnym, wojującym gniewem, jak to ministeryum, w pierwszych dniach listopada przez p. Faure'a do sterowania Francyą powołane. Sprawy wewnętrzne, sprawy zewnętrzne, podatek, godziny pracy, prawo t. zw. syndykatów, prerogatywy senatu, Madagaskar, Egipt, nawet jakiś urzędnik sądowy, odsadzony od śledztwa, które źle prowadził — wszystko wydaje się nieprzyjaciołom gabinetu dość wielkiem, dość wielkie wzbudzającem obawy o porządek, szczęście i potęgę kraju, aby mogło i musiało dawać hasło do walki.

Kilka razy już chwiał się gabinet tak, że wrogowie jego zabierali się niemal do uprzątania gruzów po nim. Cały luty przeszedł na podjazdach senatu, niespokojnego o swą władzę i samo istnienie, a zasadniczą nienawiść, od samego początku żywioną, pokrywającego pozorami rozmaitych pogwałceń prawa, prawdy, sprawiedliwości, zasad republikańskich itd. Podróż prezydenta na Rivierę, zatrzymanie się jego w Lugdunie, w Marsylii, w Tulonie w towarzystwie p. Bourgeois, krzyki ludu, który witając gościa swego, wołał: „Precz z senatem!" — pogorszyły jeszcze położenie gabinetu wobec Izby wyższej i spotęgowały jej gniew w otwartą już, nieustającą namiętność pozbycia się niemiłego rządu. Nawet republikanie z pałacu luksemburskiego w podjazdach ustawicznych uczestniczyć się nie wahają, i tylko 80-u senatorów p. Bourgeois pewnym być może w walce, która najprawdopodobniej skończy się jego klęską.

W Izbie deputowanych rzeczywistymi jego stronnikami, tymi, którzy go nie opuszczą aż do śmierci, są ludzie przekonań skrajnych. Inni, popierający go w walce z senatem i z przeciwnikami w samej Izbie, dotychczas ulegali tylko strachowi, aby prezes gabinetu, — znany ze swej energii a popularny w tej warstwie społeczeństwa, dla której w górze mają jedną tylko nazwę, „ulica" — nie zechciał właśnie do tej „ulicy" się odwołać. Są i tacy, którym nie podobała się postawa senatu, wyrywającego Izbie jej monopol wytykania rządom kierunków rządzenia. Z tych obu odłamów Izby miewał już p. Bourgeois, i mieć jeszcze może, przygodnych sprzymierzeńców; ale, jak w senacie, tak i w zgromadzeniu deputowanych — mówiąc żargonem publicystyki bieżącej — znajduje się w mniejszości, nie jest rządem parlamentarnym, nie ma normalnej podstawy istnienia. Sztuce równowagi tylko, nie rzeczywistej sile, istnienie swoje zawdzięcza. Ale silniejsza od niego rozumowa konieczność pozwala już dziś postawić dylemat: władza albo zasada. Do owej ulicy p. Bourgeois się nie odwoła, na Izbach oprzeć się nie może: jeśli nie zechce poświęcić swego programu, choćby tylko dla utajenia go do czasu — będzie musiał ustąpić. Już rola jego w d. 26 z. m. w Izbie deputowanych pokazała, jak śliskiemi kroczyć musi ścieżkami, aby się utrzymać przy władzy: ocalił siebie, ale umiłowany swój podatek w połowie już wydał w moc przeciwników. Własne błędy, własne niedokładności, usterki, któreby przy rządzie silnie stojącym zaledwie otarły się o rozum stanu,—dla przeciwników zawsze nieubłagany — w położeniu, w jakiem znajduje się p. Bourgeois, rosną do rozmiarów wielkich przestępstw i grzechów—i poruszają masy mu wrogie w obu Izbach prawodawczych.

Co zaszło między p. Berthelotem a p. Bourgeois, jaki był wpływ dyplomatyczny na dymisyę, wskutek której prezes gabinetu oddał sprawy wewnętrzne p. Sarrienowi, a zewnętrzne wziął dla siebie? — nikt nie wie. Z tej dymisyi przecież skorzystali zaraz nieprzyjaciele, aby w obu Izbach wnieść interpelacye nad polityką zagraniczną wogóle, a wyprawą do Dongoli w szczególności. W Izbie d. 2 b. m. p. Bourgeois odniósł zwycięstwo; naganę, ułożoną przez Charmes'a, odrzuciła większość 317 przeciw 241, uchwałę ufności, zaprojektowaną przez Deloncle'a i Mahy'ego, wydało 309 przeciw 213 głosom. Stanowcze oświadczenie, że Egipt jest tureckim, panowanie angielskie nieuznanem przez Europę, a sprawa egipska — sprawą europejską— wahających się przyciągnęło, i gabinet znowu ocalał w Izbie. Z tem większą zaciętością rzucił się nań senat nazajutrz: odmówił odroczenia rozpraw (159 i 112 gł.) i 155 głosami przeciwko 85 uznał wyjaśnienia p. Bourgeois za niewystarczające. Ministrowie opuścili pałac senatorów, aby się naradzić i odwołać do prezydenta. P. Faure utrzymał ich nadal. Utrzyma ich i sam czas aż do 19 maja, do dnia zebrania się Izby. Senat zbierze się już 21 b. m., ale niczego nie dokaże pod nieobecność deputowanych. Tymczasem senatorowie sami odwołują się do „ulicy." Lud wyścigowy w Auteuil, w d. 6 b. m. wrzeszczał: „Precz z rządem, z ministrami!" Nie był to lud Francyi, ale demonstracya sama przez się jakże jest wymowną!

Tydzień polityczny. Wyprawa do Dongoli wstrzymana w Akaszeh: względy strategiczne raczej, niż dyplomatyczne. W Indyach proklamacye, odwodzące od walki ze współwyznawcami muzułmańskimi w Su-

danie. Wyprawa z Suakimu dopiero w zawiązku. Dawny Osman Digma zmartwychwstaje około tej miejscowości. Sudańczycy są liczni i w części przynajmniej dobrze uzbrojeni — wszakże bez artyleryi.

Derwisze uderzyli w przeszłym tygodniu na Kassalę; odparci, zajęli góry okoliczne. Układy z Menelikiem bliskie zupełnego zerwania. Adigrat oblężony. Nastaje pora deszczów.

Cesarz Wilhelm opływa Sycylię, zaglądając do miast nadmorskich. D. 11 b. m. stanie w Wenecyi, nazajutrz zobaczy się z królem Humbertem.

Książę Ferdynand jeszcze d. 7 b. m. bawił w Konstantynopolu. Był znowu u sułtana. W święta znajdował się na nabożeństwie w katedrze bułgarskiej. Papież nie pozwolił mu przyjąć komunii. Książę ma zawrzeć z Portą konwencyę militarną: myśli też o zabraniu egzarchatu bułgarskiego do Sofii.

D. 2 b. m. Izba dep. we Francyi dała p. Bourgeois *votum zaufania*. Nazajutrz Senat odpowiedział na nie wyrazami niezadowolenia. Ministrowie pozostali. Na wyścigach w Auteuil d. 6 b. m. powitano ich krzykiem: „Precz!“ W łonie samego rządu niema zgody na dalszą politykę. Doumer przyrzekł przerobienie podatku dopiero po 27 b. m.

Francya, w myśl odpowiedzi na interpelacye w Izbie dep. d. 2 b. m., poruszyła sprawę zwołania konferencyi nad Egiptem.

W Matabele krajowcy wciąż się zbroją. Przewódca ich prowadzi wojnę świętą: sam uważa się za wcielonego boga. Cecil Rhodes przybył do kraju Maszona na pograniczu Transwalu. Robinson, gubern. na Przylądku, odrzuca ofiarę Krugera, i nie chce pomocy Boerów w Matabele; Anglicy transwalscy idą na ochotnika.

W Anglii Rosebery w Huddertieldzie wylał trochę niewinnego krasomówstwa na głowy zachowawców.

Ugodę z Węgrami utrudnia niechęć większości sejmowej w Peszcie do podniesienia stopy udziału we wspólnych wydatkach.

ŻYCIE SPOŁECZNE

ZAPOMNIANI.

II.

Liczne rzesze pracowników różnych kategoryj żyją nadzieją poprawienia bytu i zabarwiają nią szare dni swoich trosk; urzędnicy oczekują awansów, czeladnicy szewccy i krawieccy marzą o własnych warsztatach lub sklepach, kelnerzy o własnej restauracyi. Farmaceuci pozbawieni są nawet i tej ulgi życiowej: *nadziei*. Uczeń aptekarski, sypiający po za szafami lub w różnych norach zakładu, spędzający znaczną część czasu roboczego w piwnicach albo innych ciasnych skrytkach, przesyconych niezdrowymi wyziewami, jeżeli po mozolnej kilkoletniej pracy zdobędzie świadectwo pomocnika prowizora i możność otrzymania „kondycyi“ za 20—30 rs. miesięcznie, albo dyplom prowizora, dający widoki posady z pensyą 50 rs. miesięcznie— już nadal może swoje rachuby zetrzeć w moździerzu i zrobić z nich ognie bengalskie. Na takiem stanowisku i z taką sumą zarobku pozostanie do końca życia, z zaprzedanymi mięśniami i mózgiem właścicielowi apteki. Może go zbawić tylko loterya, żona posażna lub spadek po jakim skąpym stryju czy wuju.

To też żaden zawód nie liczy tak znacznego procentu dezerterów, co aptekarski. Po kilku latach uciążliwej pracy i poniewierki, po zmarnowaniu okresu największej energii, porzucają oni ze wstrętem swój fach i kołaczą chociażby o najmizerniejsze zarobki dyetaryuszów w różnych biurach, bo tam przynajmniej w godzinach wieczornych czują, że nie są niczyją własnością. Gdybyśmy przejrzeli świadectwa urzędników i oficyalistów na kolejach żelaznych, w bankach i wszelkich przedsiębiorstwach przemysłowo-handlowych, niewątpliwie znaleźlibyśmy między nimi sporo nawet dyplomowanych farmaceutów.

Ci, którzy wystąpili ze skargą publiczną na swoją dolę, sformułowali żądania w trzech punktach: 1) Uregulowanie godzin pracy i dyżurów. 2) Unormowanie liczby pracowników stosownie do obrotu apteki, z przyjęciem za zasadę ilości recept. 3) Podniesienie poziomu wykształcenia ogólnego i specyalnego do sześciu klas gimnazyalnych, tudzież za pomocą rozszerzenia zajęć praktycznych z zakresu chemii i farmacyi. Te trzy warunki są ważne, nie obejmują jednak wszystkich niezbędnych potrzeb. Pierwsze dwa mogą zmniejszyć ciężar pracy, ale nie poprawią położenia materyalnego i nie zabezpieczą przyszłości. Ponieważ do apteki zapędza młodych rozbitków tylko ostateczność, brak zdolności lub środków dla skończenia średnich zakładów naukowych, więc bardzo mało znajdzie się ochotników do tego zawodu, posiadających świadectwa z sześciu klas, gdyż większość z takiemi kwalifikacyami będzie wolała poszukać zajęcia mniej uciążliwego i mniej niewolniczego. Praca zatem tej garstki, obierającej aptekarstwo, będzie wyżej szacowana.

Ognisko aptekarzów warszawskich, dotąd mające na względzie tylko interesy przedsiębiorców, prawdopodobnie przytuli wkrótce pod swe skrzydła kasę pożyczkowo-oszczędnościową, której ustawę już opracowano. Zadanie wszakże tej instytucyi więcej zakrawa na ironię, niż pomoc rzeczywistą. Ma ona farmaceutom na kondycyi, tudzież uczęszczającym na kursy, dać możność „składania oszczędności,“ które zabezpieczą ich na starość lub w razie utraty sił. Doprawdy, w wielkim będzie kłopocie uczeń aptekarski lub pomocnik prowizora, gdy z uszczerbkiem potrzeb nieodbitych zechce coś odtrącić na rzecz kasy ze swej pensyi 15—20-rublowej. Mogą mieć swoje kasy robotnicy fabryczni lub kolejowi, rzemieślnicy, tragarze i nawet stróże, bo ich zarobki, zdobyte pracą mięśniową, znacznie są wyższe, niż farmaceutów, zaliczonych do grupy pracowników umysłowych. Co do uregulowania warunków pracy farmaceutów, przeprowadzić to może skutecznie tylko prawodawstwo.



Armand Charpentier.

ABONAMENT POGRZEBOWY.

I.

Eh, eh—myślał p. Coffignon—prawie od trzech godzin mam siedemdziesiąt lat... Piękny wiek, fichtre!.. i zawszem jednakowo silny na na stanowisku!..“

Chociaż starał się sam z siebie żartować, ledwie dostrzeżony smutek nurtował go głucho, powstawał z nieznanych głębin jego istoty i określał się wyraźnie jako myśl o śmierci. Bo ona, — ta, której się nie oddaje, ale która cię mimo wszystko zabiera w chwili naznaczonej, — przyjdzie okropnie prędko. Czy to będzie jutro, za tydzień, czy za osiem lat?.. Nie wiedział. I żal za życiem, rozpacz w poczuciu bezsilności, aby wrócić przeszłość, aby ująć jej choć lat kilka, pogrążała jego duszę w nagłą melancholię.

A jednak to istnienie, którego czepiał się tak uporczywie, nie było obfitem w przyjemności. Od najmłodszych lat wyrzucił z życia wszystko, co mogło mu przynieść radość i stanowić racyę bytu. Jego serce, samolubnie zamknięte w sobie, nie biło silniej żadnem wzruszeniem, jego mózg nie żywił żadnej podniosłej myśli; jego ciało nie było wstrząsane dreszczem rozkoszy przy żadnem dotknięciu. Opanowany przez najbrudniejszą, najwięcej hańbiącą, jedyną nie do wybaczenia wadę — skąpstwo, myślał tylko o gromadzeniu złota, gromadzeniu go skrycie, aby się tego nikt nie domyślał, i wszyscy uważali go za biedaka, a on sam tylko wiedział o swem bogactwie.

Żył nędznie, odmawiając sobie nietylko pozorów zbytku, ale nawet rzeczy niezbędnych. Trzymając rodzinę zdaleka, nie mając przyjaciół, ani stosunków z kobietami, spędzał dni na uganianiu się za zarobkiem, o ile możności największym, w najdziwaczniejszych operacyach handlowych; kupował w jednem miejscu, a w innem sprzedawał, zadowalając się chociażby najmniejszym zyskiem. Nie zawahałby się przejść Paryża wpoprzek, gdyby miał pewność znalezienia pięciu sous; wieczorem kładł się spać o zmroku, aby nie zapalać światła.

Wspierany zuchwałem szczęściem, ten człowiek, który nie potrzebował pieniędzy, bo wolał żyć jak nędzarz, jak obdartus, niż je wydawać, węszył najlepszą sposobność dla otrzymania zysków najmniej przewidzianych, hazardując się, umieszczał kapitały jaknajkorzystniej. Nie grając nigdy na loteryi, zdecydował się raz wziąć bilet, ponieważ odstępowano mu rabat. We trzy miesiące później wygrał wielki los, wynoszący pięćset tysięcy franków. Po sześćdziesięciu latach podobnego istnienia był posiadaczem kilkunastu milionów franków. Większa część jego majątku, złożona w banku, zaokrąglała się przez ciągły przyrost procentu. Reszta spoczywała u niego w ogromnych, szczelnie zamkniętych szafach. Tam rulony złota, srebra i miedzi wyciągały się na półkach równymi szeregami, gdy w kufrach, związane białymi sznureczkami, gromadziły się paczki niebieskich banknotów. I największą radość, jedyną rozkosz sprawiało mu otwieranie szaf i dorzucanie do stosu złota jeszcze garści ludwików, przeliczanie i porządkowanie wszystkiego. Potem ze wzruszonem ciałem, rosnącem sercem, zwolna pieścił swe skarby dłonią, śmiejąc się szyderczo:

„Eh, eh!.. moi kochani krewni sądzą, żem ubogi... nędzny... a jam bogatszy od nich wszystkich razem. Dopiero będą zdziwieni po mojej śmierci!..“

Odkąd miał siedemdziesiąt lat, częściej zajmowała go myśl o końcu, którego spodziewał się niezadługo, chociaż prawie

LIBERUM VETO.

Nauka dla wszystkich i dla wybranych.—Trzechsetna rocznica urodzin Kartezyusza. — Nieroztropnie przypomniana zasada jego filozofii. — Czy podobna żądać, ażeby ludzie, którzy nie myślą, zwątpili o swem istnieniu? — Niezbędne zastrzeżenie. — Osaczenie ciemnych krzaczków, czyli zamknięcie „domu schadzek.“ — Komu uległ administrator *Kuryera warszawskiego*. — Małżeństwa przez ogłoszenia. — Zdradzona tajemnica. — Kilka słów o perzu.

W zeszłym miesiącu upłynęło 300 lat od urodzin ojca filozofii nowoczesnej, Kartezyusza. Jakkolwiek był on myślicielem genialnym i wywarł głęboki wpływ na rozwój umysłowy świata cywilizowanego, istnieje pewien, bardzo poważny wzgląd, który ludziom grzecznym i taktownym nie pozwala mówić o nim publicznie. Mędrcy greccy wykładali swoją naukę w dwu postaciach: jedna przeznaczona była dla ogółu, druga — dla szczuplejszego koła wtajemniczonych; tamta stanowiła pokarm tłumu, rozdawany na ulicach, ta — przysmak wybranych, udzielany tylko w murach „akademii.“ Owa zasada dwoistości filozofii utrzymała się później i obowiązuje dotychczas. Jeżeli porównamy teoryę rozradzania się organizmów z opowieścią o usługach bociana, to będziemy mieli przykład takiej dwulicowości nauki. Jakób Böhme idzie jeszcze dalej i (w przekładzie Mickiewicza) powiada:

Są prawdy, które mędrzec wszystkim ludom mówi.
Są takie, które szepce swemu narodowi,
Są takie, które zwierza przyjaciołom domu,
Są takie, których odkryć nie może nikomu.

Otóż mojem zdaniem do prawd, przeznaczonych tylko dla „przyjaciół domu,“ należy filozofia Kartezyusza. Bo proszę zważyć: rozpocząwszy od zupełnego zwątpienia i szukając jakiegoś punktu, na którym oparłby mocno rusztowanie swego systemu, znalazł on go w następującem rozumowaniu: Chociażbym o wszystkiem wątpił, to o tem wątpić nie mogę, że wątpię; a skoro *myślę, więc jestem*. W tych kilku na pozór niewinnych wyrazach mieści się zuchwała impertynencya. Jakto, myślenie ma być jedynym dowodem istnienia człowieka? W takim razie nietylko połowa „szanownych obywateli, powołanych do ratowania społeczeństwa,“ nietylko masa eleganckich młodzieńców, urządzających wyścigi zbytku swych utrzymanek w kraju i za granicą, nietylko legion ślicznych panien, łapiących na wędkę małżeńską starych bogaczów, nietylko poczciwe żony, pozwalające przyjaciołom wyręczać mężów w... wydatkach na kosztowne toalety, i tyle, tyle innych odmian rodu człowieczego, ale nawet wielu świątłych przewodników opinii publicznej, uczonych, literatów, musiałoby uznać swój byt za niedowiedziony! Szaleństwo! Wyobraźmy sobie, że spojrzeliśmy na świat przy nikłym blasku latarki Kartezyuszowskiej: nagle zniknie nam co najmniej trzecia część ludzi, i to ludzi, których obecnie widzimy w mocnym blasku. Pozostaną tylko ci, którzy... myślą, bardzo nieliczni, a z otchłani ciemności wydobywać się będzie rozpaczliwy krzyk pogrążonych w niej i wołających: My istniejemy, słowo honoru, dalibóg, jak pragnę zbawienia, jak mamę, ojca, żonę, dzieci kocham, żebym tak zdrów był — istniejemy! Nie, nawet dla ścisłości filozoficznej tak zgładzać ludzi niepodobna! A chociażby rzeczywiście nie było innego dowodu, że człowiek jest, oprócz tego, że myśli, należy taką prawdę zamknąć w szczupłem gronie akademii, czyli — według rady J. Böhmego — „zwierzać ją przyjaciołom domu.“ Tymczasem jedno z pism, czytane przez wielu niemogących stwierdzić swego bytu myśleniem, zamieściło bez zastrzeżeń pochwalny artykuł o Kartezyuszu. Nie sądzimy, ażeby ono dopuściło się tego nietaktu i niegrzeczności świadomie; przypuszczamy nawet, że jakiś nierozważny entuzyasta nadużył dobrej wiary redakcyi, która dopiero wtedy spostrzegła swój fałszywy krok, gdy go już cofnąć nie mogła, a żałować musiała tem bardziej, że sprawiła wielu swym czytelnikom przykrość przed samemi świętami, kiedy nikomu nie wypada zatruwać życia. Z drugiej strony wszakże dziwi nas, że ona nie naprawiła omyłki oznajmieniem: Współpracownik nasz nie przez złą wolę, ale dla braku miejsca, przytoczył zdanie Kartezyusza bez krytyki. Dla uniknięcia nieporozumień, pośpieszamy wyjaśnić w imieniu redakcyi, że współczesna nauka nie uważa myślenia za rękojmię bytu, gdyż z równą słusznością rzec można: jem, piję, próżnuję, gram w karty, nie myślę — więc jestem.

Oryginalne zawiadomienie rozesłał do gazet administrator *Kuryera warszawskiego*, p. S. Lewental: „Wobec poważnych głosów duchowieństwa, zamykamy z dniem dzisiejszym rubryki *doniesień osobistych* oraz odnośnej *korespondencyi prywatnej*.“ Dwie te rubryki były rodzajem gęstych i cienistych krzaków, gdzie ludzie „w celach sobie wiadomych“ (jak powiada skromnie *Słowo*) urządzali dla siebie tajemne schadzki. Gruchali oni tam i szeptali nieraz dość długo, a gdy wreszcie *ona* powiedziała *nie* bardzo miękko, a *on* zaprzysiągł *tak* bardzo twardo, nagle oboje niknęli ze szpalt *Kuryera*, i nawet *Słowo* nie umiałoby objaśnić, dokąd każda para tych ptaszków odleciała. Narody wielkie uczą małe nietylko cnoty, ale i niecnoty. Tokowania w prasie nauczyli nas Francuzi, a zwłaszcza ciągle wieszany i ciągle obrywający się z szubienicy rajfur, *Figaro* paryski. Było to objawem zupełnie naturalnym, że jak wszyscy sprzedawcy, tak i mający do zbycia swoje ciała, zwrócili się z ofertami do pisma, mającego największą liczbę czytelników, do *Kuryera warszawskiego*, który otworzył im w swych oficynach ogłoszeniowych dwie izby, oszklone szybami z matowego szkła. Gdyby do tego „domu schadzek,“ jak nazwano owe izby, wsuwały się czasem nieliczne jednostki, możeby go tolerowano; ale gdy goście zaczęli napływać tłumnie, gdy on zaczął właścicielowi przynosić znaczne dochody, obrażona moralność zyskała mocną pobudkę do wystąpienia z publiczną naganą. Z wyrzutów i oskarżeń, że tak powiem, świeckich, administrator *Kuryera* nic sobie nie robił; dopiero kiedy w *Słowie* zagrzmiała przeciw niemu klątwa księdza Rzewuskiego, który przytem wezwał wiernych do wycofania się z koła prenumeratorów grzesznika, nastąpiło „zamknięcie rubryk wobec poważnych głosów duchowieństwa.“ Oryginalny widok! Katolik, korzący się przed swym kapłanem i powierzający mu kierownictwo swej woli — jest konsekwentnym; ale niekatolik, członek gminy innego wyznania, który lekceważył argumenty ogólno-etyczne, a poddał się wyrokowi księdza katolickiego, jako najwyższej i prawowitej instancyi, przedstawia niezwykły okaz „podwójnego buchhaltera,“ rzucającego swemu społeczeństwu szydercze pytanie: zgadnijcie, czem ja jestem? Ale mniejsza o analizę cudzego sumienia. Połóżmy pieczęć na zamkniętym domu i powiedzmy właścicielowi: chociaż nie dobrowolnie,

---

ciągły post, do jakiego się przyzwyczaił, zahartował jego ciało i utrzymywał je w doskonałem zdrowiu. Śmierć sama przez się nie budziła w nim strachu. Jedynie pogrzeb go niepokoił. Przez dziwną sprzeczność umysłu po tak lichem życiu pragnął obrzędu pogrzebowego, którego książęcy przepych olśniłby tłumy przechodniów. Rozkoszował się myślą spoczywania w wygodnej trumnie, pod wysokim baldachimem, przybranym olbrzymiemi draperyami, usianemi łzami ze srebra; przeniesienia do kościoła wśród imponującego wspaniałością orszaku; asystowania przy mszy, odprawianej przez dwunastu księży, przy blasku pięciuset świec; odbycia drogi na cmentarz na najwspanialszym karawanie, znikającym pod kwiatami i ciągnionym przez sześć koni, okrytych kapami z ciężkimi, czarnymi pióropuszami na głowach.

Taki pogrzeb, na nieszczęście, kosztował dużo, a on pozostał skąpym nawet w śmierci, nie chcąc narzucać podobnego wydatku swoim spadkobiercom. Kilka razy udawał się do rozmaitych przedsiębiorców pogrzebowych, aby poznać dokładne ceny, — wszyscy dawali jednakowe odpowiedzi:

— Za pogrzeb, jakiego pan sobie życzysz, tj. pierwszej klasy... msza śpiewana, sześć koni, kwiaty, katafalk... trzeba liczyć piętnaście tysięcy franków... ostatnia cena...

— Piętnaście tysięcy franków!..

— Tak, panie.

— Ależ to strasznie drogo!

— Pan sobie życzysz zaś pięknego, nieprawdaż?

— Co tylko jest najpiękniejszego!

— A więc i cena musi być odpowiednią... Widzisz pan, w obchodach pogrzebowych, jak i w każdej rzeczy, ma się tylko to, co można otrzymać za swoje pieniądze...

Piętnaście tysięcy franków!.. ogrom cyfry wprawiał w zdumienie p. Coffignon'a. Miałżeby wydać w ciągu kilku godzin więcej, niż wydał w ciągu dziesięciu lat?

Nie, takie szaleństwo jest niepodobnem. I pomimo natężonego pragnienia opierał się wymienieniu w testamencie życzenia, aby odprawiono takie egzekwie. Była to ciągła walka między jego szalonem skąpstwem a kuszącą chęcią, która go uartowała. Ale pierwsze zawsze zwyciężało...

II.

Silił się wymknąć tej pokusie przepychu pośmiertnego, przywiązując wszystkie swe myśli do złota, pieszcząc je często, pozwalając mu się pochłonąć, kiedy pewnego dnia znalazł następujący prospekt, wsunięty pod drzwi swego nędznego mieszkania:

„Dom Paillardot
Ojciec i Syn i Spółka

Orszaki pogrzebowe, kondukty, egzekwie itd.

Liczne medale na rozmaitych wystawach.

Telefon.

Panie...

Znany zaszczytnie śród licznych swych klientów Dom Paillardot, Ojciec i Syn i Sp., ma honor zawiadomić, że zacząwszy od pierwszego lipca, zaprowadza rodzaj obrzędu pogrzebowego, dotychczas nieznany.

Pomimo największego przywiązania rodzinnego, pomimo najszczerszej boleści naszych najbliższych, trzeba się zawsze, niestety, liczyć z niewdzięcznością, właściwą naturze ludzkiej. Oto dlaczego wielu po śmierci nie ma takich pogrzebów, jakich tego pragnęli za życia. Aby zaradzić temu, Dom Paillardot, Ojciec i Syn i Sp. założył „Abonament pogrzebowy.“

Odtąd każdy może sobie zapewnić pogrzeb według swego smaku. Za pomocą opłaty miesięcznej, lub kwartalnej, nasi klienci, odpowiednio do wieku i zdrowia, mają możność abonowania swego własnego pogrzebu i ułożenia zawczasu szczegółów obrządku, z wymienieniem ilości kwiatów, jakiej sobie życzą. Aby mnogie

zrobiłeś dobrze. Wyganiając wszakże z tego domu gości, nie powinniśmy „wyświecać“ wszystkich. Pozwalam sobie mniemać, że daleko bardziej pragnąłbym widzieć w małżeństwie związek czystych i prawdziwie kochających się serc, aniżeli niejeden inkwizytor moralności, który sobie lub komuś przebacza handel posagowy, tajemne haremy, błyszczącą rozpustę i tym podobne przysmaki życia; wszakże uznaję pewne wypadki, w których ludzie nie mają innej drogi znalezienia sobie męża lub żony, prócz prasy. Przed kilkunastu laty nadesłał mi do *Nowin* tego rodzaju ogłoszenie niejaki Ludwik Dąbrowski z Temnikowa, w gubernii Tambowskiej. Był to naprzód człowiek ułomny, a następnie ubogi fotograf, któremu ani zajęcie, ani środki nie pozwalały wydalić się z miejsca, a który koniecznie chciał poślubić rodaczkę. Cóż mu pozostawało? Albo żyć w celibacie, albo w związku niepożądanym. Jednego i drugiego nie chciał, więc ogłosił podpisaną pełnem nazwiskiem propozycyę, w której niczego nie zataił, nawet swego kalectwa. Pytam panów, którzy krzyczeli wówczas i krzyczą dotąd: „sakrrrament“ — co miałem począć? Odmówić jego żądaniu, czy też powiedzieć mu: W bieżącym karnawale będzie u nas kilka balów, a w poście kilka rautów; przyjedź pan, zwłaszcza na bal wełniany lub na raut biały, a niezawodnie wybierzesz sobie żonę. Z pewnością odpowiedziałby mi: Niech pan dobrodziej ze mnie nie kpi, bo już zbyt wiele nakpił los. I rzeczywiście, kto śmiałby zalecić spełnienie „sakramentu małżeńskiego“ w Warszawie lub Kowlu, człowiekowi ubogiemu, oddalonemu o tysiące wiorst? A przecież on chciał szczerze ożenić się według wszelkich prawideł moralności. Otóż dla takich ludzi ogłoszenia w gazetach pozostaną jedyną drogą starania się o żonę.

Jest to całkiem inna sprawa, niż wabienie się samców i samic za pośrednictwem gazet. Raz szczególnym trafem miałem sposobność zajrzeć w sekrety owego tokowiska. Zeszłego roku, przeglądając pocztę redakcyjną, w jednej z kopert znalazłem list mniej więcej takiego brzmienia: „Drogi Aniołku! Pokonawszy przeszkody, w środę przybywam do Warszawy i czekać Cię będę w cukierni ogrodu Saskiego o 7-ej wieczorem. Trzymaj w jednej ręce chustkę, a w drugiej swój zwykły papier z jaskółką.“ Dalej następowały marzenia dość drażliwe. Zdumiony, oglądam kopertę i widzę na niej adres: *Prawda*. Co to znaczy? Kto pisze? Długo nie mogłem rozwiązać zagadki, nareszcie ktoś objaśnił mnie, że w „korespondencyi prywatnej“ *Kuryera warszawskiego* wabi się jakaś parka, która używa godła *Prawda*. Urzędnik pocztowy, nie dostrzegłszy dopisku: *poste-restante*, wysłał list do naszej redakcyi. I właśnie tego dnia i godziny, kiedy go czytałem, ktoś daremnie upatrywał w cukierni chustki i papiora z jaskółką. Czy ten wypadek można porównywać z wypadkiem Ludwika Dąbrowskiego?

Po oświadczeniu administracyi *Kuryera* z wielu pism rozległy się oklaski dla skruszonego grzesznika. I czy jego karciciele sądzą, że złe ziele wyrwali z korzeniem i że ono już nigdy nie zjawi się na naszym gruncie? Ośmielę się wątpić, bo jako ogrodnik wiem, co to jest perz. Wykopiesz go, wytępisz aż do ostatniego kiełka, ale gdy pewnego dnia z rozkoszą spoglądasz po czystych zagonach, dostrzegasz w kilku miejscach źdźbła zielonej trawki. Wyciągasz ją, trzyma się mocno; podważasz szpadlem, wychodzi zdrowy, ładnie zakorzeniony — perz. A jak on, tak w obyczaje świata cywilizowanego wrosły romanse za pośrednictwem prasy, którym sprzyjają warunki ekonomiczne i po części od nich zależne, przymusowe bezmęstwo ogromnej ilości kobiet. Ponieważ zaś Warszawa, która dziś już jest wielkiem miastem, przejmuje od swych wzorów wszystko złe i dobre, więc pewnego pięknego poranku pielucze perzu zauważą, że jeden zagonek jakiegoś dziennika zazielenił się... korespondencyą prywatną. Proszę sobie zapamiętać tę wróżbę.

Poseł Prawdy.



NĘDZA LUDU WIEJSKIEGO W GALICYI.

Lwów.

I.

Powodem napisania kilku słów w tym przedmiocie posłużył mi fakt emigracyi ludności galicyjskiej do Ameryki południowej. Fakt stwierdzony, niezaprzeczony, rozklasyfikowany dokładnie podług miejscowości i określony ścisłami liczbami. Tej przeto strony jego, którą nazwałbym statystyczną, wcale dotykać nie będę, chyba wyjątkowo i bardzo pobieżnie — nie dlatego wszakże, żeby nie była interesującą i nie zasługiwała na badanie, lecz dlatego, że co do tego punktu sprawa emigracyi w chwili obecnej jest prawie wyczerpaną. Wracając przeto do tego przedmiotu, musiałbym z konieczności mówić o rzeczach znanych i wyzyskanych w prasie; wolę obrać stanowisko inne nieco i sięgnąć do źródła emigracyi — nędzy ludu galicyjskiego.

Przedewszystkiem nadmienić muszę, że będę mówił przeważnie o Galicyi wschodniej, chociaż niektóre uwagi stosować się będą do całości stosunków tutejszych z zakresu ekonomicznego. Daleki jestem od przypuszczenia, ażebym przedmiot tak ważny i tak obszerny, jak ubóstwo materyalne całego kraju, mógł wyczerpać, pragnę tylko zwrócić nań uwagę czytelników z innej strony, niż dotychczas patrzono i zmuszano niejako nas patrzeć.

Nadzwyczajne ubóstwo warstw pracujących w Galicyi, przeważnie ludności wiejskiej i miejskiej, zaprzeczyć się nie da; ujawnione ono zostało nietylko w pracach statystycznych, ale czynem wielkiego znaczenia — emigracyą. Fakt przeto istnieje, nędza jest.

Galicya miała chwile znośnego życia pod względem ekonomicznym, ale coraz większe ubożenie rozpoczęło się dopiero od lat dwudziestu pięciu, a co ważniejsza, zbiegło się właśnie z chwilą największego — jakby może powiedzieć należało — postępu tego kraju. Szkolnictwo wzrosło we dwójnasób, stworzone zostały środki komunikacyjne, które przedtem prawie nie istniały, uskuteczniono szereg melioracyj rolnych na wielką skalę (jak regulacye rzek i potoków, osuszenie błot itd.), stworzono nowe gałęzie przemysłu, jak nafciarstwo, rozrzucono po kraju setki kółek rolniczych i sklepów, stworzono instytucye nauczycieli wędrownych, powołano do życia nieistniejące przedtem szkoły przemysłowe i fachowe, zrobiono wiele w kierunku podniesienia przemysłu domowego i jego obrony. Naliczyłbym więcej jeszcze zarówno pożytecznych instytucyj, jak i doniosłych prac. Mieliśmy przeto prawo spodziewać się, że tak duże wysiłki na polu ekonomicznem przyniosą pożądane rezultaty — polepszenie bytu materyalnego — boć ten wyraz tylko był

---

korzyści naszego systemu były dobrze zrozumiane, podajemy jeden przykład: Człowiek czterdziestoletni, cieszący się normalnem zdrowiem i bez żadnych kalectw, przez wnoszenie kwartalnej opłaty 45 franków, będzie miał prawo do pogrzebu pierwszej klasy, którego wartość rzeczywista wynosi dziesięć tysięcy franków. Dodajemy, że nasze „Abonamenty pogrzebowe,“ obowiązkowo spisane na papierze stemplowym, są ważne przy wszelkiego rodzaju śmierci: morderstwach, wypadkach lub samobójstwach.

Osoby, mogące dożyć stu lat, stracą na tym układzie bez wątpienia; przeciwnie, te, które śmierć zarówno okrutna, jak przedwczesna zabiera, skorzystają prawdziwie. „Abonament pogrzebowy“ staje się w ten sposób pewnego rodzaju loteryą; to też znając grunt humoru galijskiego, charakteryzujący nową rasę i zdobywający nam we wszystkich czasach opinię najdowcipniejszego pod słońcem narodu, nie wątpimy o powodzeniu.

Spodziewając się, że pan zaszczycisz nas swojem zaufaniem, uprzedzamy, iż stu pierwszym abonentom odstępujemy 25% od ceny zwykłej.

Racz Pan przyjąć wyrazy poważania itd.

Paillardot Ojciec i Syn i Sp.“

— Sapristi, — wyszeptał p. Coffignon po przeczytaniu prospektu, — to rzecz dla mnie... i zaraz dzisiaj pójdę do tego pana Paillardot, aby skorzystać z zapowiedzianego zniżenia.

III.

Pan Coffignon był zachwycony zawartym układem. Za opłatą pięćdziesięciu franków miesięcznie zapewnił sobie wspaniały pogrzeb pierwszej klasy z katafalkiem, kwiatami i mszą śpiewaną, którego rzeczywista wartość wynosiła dziesięć tysięcy franków. Nie bez targu udało mu się zawrzeć tak korzystny kontrakt. Kiedy ujawnił swój wiek i poddał się zbadaniu stałego doktora zakładu, dom Paillardot Ojciec i Syn i Sp. nie chciał przystać na opłatę mniej, niż stu franków miesięcznie. Ale on krzyknął:

— Sto franków!.. tysiąc dwieście franków rocznie!.. ależ to okropnie drogo... to stanowczo wyżej ceny.

— Pomyśl pan, że pan masz przeszło siedemdziesiąt lat... a co większa, wybierasz pan do pogrzebu co-tylko jest najdroższego!..

— Panie, wszyscy w mojej rodzinie umierają, mając po sto lat, a i ja sam cieszę się doskonałem zdrowiem... nigdy kataru... mogę jeszcze doskonale żyć ze dwadzieścia lat, coby mnie zmusiło do zapłacenia panu dwudziestu czterech tysięcy franków... nie licząc procentu, jaki te pieniądze przynieść mogą!..

— Niechże tak będzie, ale jeżeli, czego panu nie życzę, umrzesz pan jutro?.. będzie to dla Domu oczywista strata piętnastu tysięcy franków.

Pan Coffignon długo jeszcze się sprzeczał. Nareszcie wygrał sprawę; a ponieważ miał to niesłychane szczęście być dziewięćdziesiątym siódmym klientem, skorzystał z zapowiedzianego zniżenia, co zmniejszyło jego opłatę do pięćdziesięciu franków miesięcznie.

Wrócił do siebie zupełnie lekki i wsunął ostrożnie szacowny akt ugody między rulony złota i niebieskie banknoty. Wieczorem, na znak radości, pozwolił sobie na pół butelki dobrego wina przy obiedzie,— nadzwyczajny wypadek, który mu się zdarzył najwyżej dwa lub trzy razy w życiu.

IV.

Od tego czasu p. Coffignon był najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Spełnił marzenie całego swego życia!.. Na ulicy największą jego przyjemnością było spotkać pogrzeb. Wzruszał ramionami, bo go litość brała dla biedaka, który nędznie schodził do ziemi. Tylko karawany drugiej i pierwszej klasy, mniej rzadkie od czasu genialnego wynalazku Domu Pail-

na ustach wszystkich, jako hasło, ile razy nową jakąś pracę rozpoczynano.

A jednak cóż to wszystkie usiłowania i prace przyniosły Galicyi? Ludność byłaby bardzo szczęśliwą, gdyby mogła powiedzieć, że — *nic* nie przyniosły. Zamiast dobrobytu, przyszła — nędza. Kto rozmawiał z chłopem, robotnikiem, mieszczaninem, kto widział wsie nasze i życie włościan, kto bodaj przejechał Galicyę od Podwołoczysk lub Czerniowiec do Krakowa, ten, śmiało można powiedzieć, nie słyszał nic innego, tylko wielkie narzekania na biedę. W tym całym kraju jest tylko jedna warstwa ludności, która nie narzeka — Żydzi, ale też oni są jedną z plag, trapiących Galicyę. Mówiono dawniej o plagach egipskich, dziś o galicyjskich mówić trzeba, ażeby zrozumieć materyalną i moralną stronę nędzy.

Cała zatem praca ćwierćwiekowa społeczeństwa, praca kosztowna, niezawodnie chwalebna, ekonomicznie uzasadniona i słuszna, przyniosła coraz bardziej wzrastającą nędzę, która objawiła się wybuchem rozpaczy — emigracyą.

Cóż wobec tego pomogą najpiękniejsze frazesy? Uniwersytety dały nam zdolnych i rozumnych ludzi, politechnika — fabrykantów i inżynierów, szkoły rolnicze — wysoko wykształconych agronomów, a lud wiejski z głodu umiera! Akademia umiejętności wydaje prace ludzi wielkiej wiedzy, u steru rządu państwa znajdują się najzdolniejsi mężowie stanu — co wątpliwości nie ulega,—budżet państwowy w równowadze, dochody kolei żelaznych wzrastają — a lud wiejski z głodu umiera! Galicya otwartą została jak wielka gospoda dla wypędzonego z powodu jego szkodliwości proletaryatu żydowskiego całego świata,—a lud wiejski musi szukać chleba i ziemi po za morzami...

Nasuwa się przeto pytanie: czy te wszystkie wysiłki naszej woli, pracy i kapitału warte były tak smutnego zakończenia? Czy nie istnieje jakaś przyczyna, paralizująca teoretycznie dodatnie — bez wszelkiej wątpliwości — strony naszej pracy? Czy nie należałoby zwrócić usiłowań w inną stronę—ale w jaką? Wszyscy szukają drogi wyjścia — i sejm i ludzie prywatni, bo nędza stała się nie czczem słowem; położenie kraju, z którego własne dzieci uciekają, domu, w którym rodzina z głodu umiera, nie musi być tak rozkoszne, jak głoszą nam Dunajewscy, Tarnowscy *et tutti quanti*. Takie sąsiedztwo, gdzie jeden marnuje i rozsypuje na fraszki cudzą pracę, a drugi z własnej wyżyć nie może, pozostawia wiele do życzenia.

Cóż to są za przyczyny, które doprowadziły lud wiejski do nędzy?

Nim przejdę do zastanowienia się nad niemi, podzielę je na dwie kategorye: takie, które mają tylko miejscowe znaczenie, i ogólno-ekonomiczne. Na niektóre z nich zwróciła uwagę statystyka i rząd—statystyka wykazała je, rząd odpowiednią ustawą przeciwdziałał. Do takich przyczyn, rujnujących ludność rolniczą, należy lichwa wiejska. Wpływ ustawy o lichwie okazał się niezmiernie małym; włościanin, pozbawiony kredytu i odsunięty od instytucyj kredytowych — także uprawiających lichwę — uciekał się z konieczności do Żyda, a nawet stanął w jego obronie, zasłoniwszy go przed sądem—jak to niejednokrotnie było stwierdzonem. U Żyda miał kredyt na miejscu, bez klaniania się w przedpokojach banków, bez dużych formalności i w każdym czasie, a co ważniejsza w chwili, kiedy najwięcej potrzebował. Wówczas ten najlepszy, kto najprędzej daje. W przededniu ruiny niema czasu zastanawiać się nad tem, jak wysoki jest procent i czy się dług spłaci. Najmniejszy dług, zaciągnięty u lichwiarza wiejskiego, zawsze sprowadza to samo zakończenie—ruinę materyalną. Dłuższa tylko lub krótsza droga może prowadzić do niej.

Nie można spuszczać z uwagi tego, że lichwa, działająca śród wsi, dotyka bezpośrednio i wyłącznie ludności rolniczej, a więc gospodarstwa włościańskiego. Gospodarstwo to jest liche nad wszelkie pojęcie; produkuje ono zaledwie trzecią część tego, co daje rolnik francuski: tam średnia wydajność pszenicy z hektara wynosi 30 hektolitrów, u nas, u włościan, najwyższa średnia ilość nigdy po za 12 hektolitrów nie sięga. Można śmiało powiedzieć, że stosunek taki utrzymuje się w każdej gałęzi produkcyi. Nie dość tego. Gdy właściciel małej posiadłości we Francyi, Belgii, Szwajcaryi, a nawet w całych Niemczech, produkuje dla siebie, na wyżywienie, mnóstwo rozmaitych jarzyn, stanowiących podstawę jego materyalnego utrzymania, u nas chłop oprócz odrobiny kapusty i ziemniaków nic więcej nie zna. To wszystko przeto, co on na swojem małem gospodarstwie wytwarza, tj. trocha ziarna, w najlepszym razie całkowicie prawie idzie na jego wyżywienie i w ogólnym budżecie nie stanowi wcale rubryki zysku. Co do produkcyi włościańskiej, budżet da się scharakteryzować przysłowiem: Maciek zrobił, Maciek zjadł.

Byłoby z tem pół biedy wszakże, gdyby rubryka rozchodów nie była tak obciążona podatkiem rządowym i autonomicznym i nie zwiększała się wydatkami nieprzewidzianymi — egzekucyj rozmaitych, zatargów sądowych, opłat lichwiarzom itp. Porównawszy te wszystkie wydatki z małym i przypadkowym zarobkiem, nie dziwnego, że w ostatecznym rachunku otrzymamy zbyt wielki niedobór, a ponieważ on powtarza się z roku na rok i nie daje żadnej nadziei wyjścia z tego położenia, więc ludność bardziej nędzą przyciśnięta, indywidua bardziej krewkie lub niecierpliwe, szukają chleba i lepszego życia tam, gdzie [illegible] z nich znajduje śmierć. Jest to powtórzenie się mitu o stadzie Panurga.

Statystyka wykazuje dowodnie, że nędza galicyjska piorunująco wzrastać poczęła od r. 1882. Warto ten rok zapamiętać. Utrwalił on sławę J. Dunajewskiego, jako ministra skarbu Austryi, jako męża wielkich finansowych zdolności, a Galicyi przyniósł podwyższenie podatku gruntowego. Zwracam uwagę tylko na ten punkt, gdyż on bezpośrednio wiąże się z przedmiotem. Zrównoważenie budżetu Austryi przez Dunajewskiego jest jedną z klęsk naszej narodowości w Galicyi, której obraz da zapewne z czasem uczciwy statystyk i ekonomista. Nikt wszakże tym przedmiotem porównawczo nie zajmuje się teraz. Wracam jednak do podatku gruntowego. Najdotkliwiej dał się on uczuć włościanom, gdyż wyżej opodatkowano grunta żyźniejsze. W ten sposób wielki minister Austryi, jeżeli można obrazowo wyrazić się, uderzył obuchem w łeb całej ludności włościańskiej w Galicyi, zrujnował ją materyalnie i ruiną własnych braci dźwignął finanse Austryi i — swoje.

Tej ruinie dzielnie przyszedł z pomocą podatek spadkowy i tranzakcyjny. Jeżeli majątek włościański w ciągu dwóch pokoleń drogą kupna lub spadku przechodził w obce ręce, to podatek przejściowy wynosił prawie wartość majątku.

Najwięcej od emigracyi ucierpiały powiaty, posiadające najżyźniejszą ziemię—a zatem Podole. Jedną z największych przyczyn zubożenia ludności tamtejszej było właśnie zwiększenie podatku grunto-

---

lardot, Ojca i Syna i Sp., zyskiwały jego uznanie. Pomimo to, pogrzeby owe wydawały mu się bardzo liche w porównaniu z tym, jaki on mieć będzie. Myślą był obecnym na swoim własnym, marzył o nim ciągle, widział tłumy gapiów, odkrywających głowy przy mijaniu karawanu, zaintrygowanych przepychem konduktu. Był to ulubiony, najrozkoszniejszy temat jego myśli.

Już go więcej teraz śmierć nie przerażała; przeciwnie, było mu prawie śpieszno użyć jedynego przepychu, na jaki sobie kiedykolwiek pozwolił, przepychu pośmiertnego. Już mu tu na ziemi nie pozostało nic więcej do ochoty; niezawodnie mógłby jeszcze zarobić kilkanaście tysięcy franków, zaokrąglić miliony, spoczywające w szkatułach. Ale jego majątek był dostatecznie imponującym. Cieszył się przyjemną niespodzianką, jaką uczyni krewnym, uważającym go za biedaka. Była to radość—pośmiertna także, której z niecierpliwością chciał skosztować. Zawczasu się śmiał, śmiechem suchym i nerwowym, wystawiając sobie zdumienie swych bliskich przy otwieraniu szaf, na widok wysokich stosów złota i srebra, błyszczących, nieruchomych w swych równych kolumnach.

...Jednak lata szły, a pan Coffignon był bardziej krzepkim, niż kiedykolwiek. Wychodził podczas każdej pogody, jadł skąpo najzwyczajniejsze potrawy, odmawiał sobie wina, nie sprawiał ubrania na miejsce zniszczonego, i nie czuł najmniejszego osłabienia; zdawałoby się, że śmierć go zabrać nie chciała.

W ciągu trzech lat zapłacił już tysiąc osiemset franków abonamentu pogrzebowego. Co miesiąc z trudem wielkim wyciągał z szuflady bilet pięćdziesięciofrankowy i zanosił go do Domu Paillardot Ojciec i Syn i Sp. I za każdym razem stanowiło to dla niego prawdziwą męczarnię; cierpiał tak, jak gdyby był obecnym przy rabunku swego domu. Pewnego poranku udał się po bezpłatną poradę do szpitala, w nadziei, że odkryją w nim jaką niebezpieczną chorobę.

— Ile macie lat? — spytał go się doktor po szczegółowem zbadaniu.

— Siedemdziesiąt trzy, panie.

— A więc, mój przyjacielu, będziecie mogli żyć tak jeszcze z jakie trzydzieści lat... jesteście z materyału, z którego powstają stuletni starcy.

Pan Coffignon wrócił do siebie wściekły. Gdyby ten lekarz prawdę mówił!.. gdyby on miał żyć jeszcze trzydzieści lat!.. trzydzieści lat, przez które co miesiąc musiałby płacić swoje pięćdziesiąt franków, co, po obliczeniu rachunku, wyniosłoby 19 tysięcy franków! Więc zamiast mieć pogrzeb pierwszej klasy prawie darmo, dzięki swemu abonamentowi, zapłaciłby o cztery tysiące osiemset franków za wiele! Aby nie dać się wyzyskać, lecz natomiast skorzystać jaknajprędzej z wydanych na swój pogrzeb pieniędzy i jaknajwięcej ich zaoszczędzić, postanowił skrócić swoje dni.

...I podczas, gdy na żelaznym ruszcie żarzyły się węgle w jego pokoju, legł na swym tapczanie, z uśmiechem do nadchodzącej śmierci, wywołując myślą najpońętniejszy widok karawanu, majestatycznie ciągnionego przez sześć koni, za którym postępują ludzie, niosący wieńce, uginający się pod ciężarem kwiatów; kościoła, aż do organów, przybranego czarno, z ołtarzem, iskrzącym się od świec, z dwunastu księżmi, błagającymi o spokój jego duszy w modłach kościelnych.

„Eh, eh! — zaśmiał się szyderczo w ostatniej czkawce, — ci poczciwi panowie Paillardot Ojciec, Syn i Spółka!..“

Tłomaczył *Aleksander Krzywka.*



wego podwójnie, a nawet potrójnie, co głośno było stwierdzone w czasie ostatniej kadencyi sejmowej, w tym samym czasie, kiedy Stańczycy urządzali owacyę Dunajewskiemu, jako genialnemu mężowi stanu.

Ulubionym argumentem urzędowych polityków jest frazes, jakoby przeludnienie i rozdrobnienie posiadłości włościańskich jest przyczyną ubóstwa, a w rezultacie — emigracyi. Wszystko to może być prawdą, ale prawdą nie jest. Przyczyny powyższe przy dobrobycie ludności mogą tylko wywołać prawidłową emigracyę, która jest pożądaną dla kraju i pożyteczną dla kolonii. Wówczas opuszczają kraj ludzie zahartowani w pracy, fachowi, zdolni, wnoszący do nowych siedzib kapitał materyalny i kapitał wiedzy, — u nas opuszczają ziemię swoją nędzarze z rozpaczą niepewności, maleńka ich cząstka, i to z młodszego pokolenia, wychodzi z walki zwycięsko, reszta całą ziemię kośćmi swemi zasiewa. Czy można w takich warunkach sumiennie stosować cyfry statystyczne do faktu emigracyi galicyjskiej?

Jak emigracyę, czyli szukanie innych i łatwiejszych warunków do życia, możnaby nazwać prawem społecznem, tak rozdrabnianie gruntu jest prawem ekonomicznem, następstwem rozwoju indywidualizmu, pragnieniem niezależności materyalnej i moralnej. Żadna siła dążenia ludzkości w tym kierunku nie powstrzyma. Jak komasacya ziemi będzie zawsze wytworem sztucznym, dokonanym przy pomocy kapitału, tak rozdrabnianie jest niezaprzeczonem następstwem właściwości natury ludzkiej, której ani zmienić, ani przekształcić nie można.

Nie o to chodzi, ażeby sztucznymi środkami wytworzyć sztuczny organizm ekonomiczny, lecz o to, ażeby każdemu organizmowi, którego istnienie opiera się o ziemię, dać prawidłowe i wystarczające do życia warunki. Utworzenie jakiejś, że tak powiem, normy minimalnej dla własności ziemskiej nie ratuje od nędzy tych, którzy po za granicami tej normy pozostaną. Nie wytwarzać przeto nowe i stałe organizacye ekonomiczno-rolnicze potrzeba, lecz szukać środków ratunku w poprawieniu materyalnych warunków życia. Bardziej rozdrobnionej własności ziemskiej, niż w Belgii, Francyi, Włoszech i Hiszpanii, chyba na całym świecie niema, a jednak nikt tam na seryo nie myśli o położeniu tamy rozdrabnianiu w celu zapobieżenia nędzy. Byłoby to mniej więcej to samo, co nakarmienie jednego kosztem trzech lub czterech, skazanych na głód.

Prawda, że ostatnie lata były dla Galicyi latami nieurodzaju, wylewów, niskich cen — mogły te przyczyny niezawodnie zwiększyć ubóstwo, a w następstwie emigracyę, ale nie mogły wywołać powszechnego ubóstwa śród ludności wiejskiej, a w następstwie emigracyi masowej. Łatwość zarobku poprawiłaby klęskę nieurodzaju i wylewów, a co do cen, mają one znaczenie tylko dla wielkiej produkcyi; mała, produkująca na spożycie, sprzedaje z konieczności, tak, jak ktoś sprzedaje koszulę, ażeby za nią kupić chleba.

Przyczyny przeto emigracyi i połączonego z nią ubóstwa ludności wiejskiej leżą głębiej, niż nieurodzaj, wylewy, ceny, agenci-naganiacze, lenistwo itd. Niektóre z tych przyczyn wskazałem, nad innemi zastanowię się w następnym artykule.

S. W.

BADANIA NAUKOWE.

DOBORY SPOŁECZNE.

Do śmielszych i oryginalniejszych umysłów chwili obecnej wśród świata uczonego należy niewątpliwie Lapouge. Nie cofa się on przed żadną konsekwencyą, wypływającą z założeń, z których wychodzi w swoich poszukiwaniach, chociażby ona brzmiała najparadoksalniej lub przeczyła wszelkim utartym poglądom. Natura to wojująca, publicystyczna, która do studyów naukowych wnosi namiętność i zacietrzewienie. Czytając prace Lapouge'a, niekiedy doznajemy wrażenia, że w pogoni za fajerwerkami myśli zachodzi on świadomie dalej, niż na to pozwala materyał faktyczny. Poprostu lubuje się zabijaniem ćwieków w głowę swoich czytelników. Z faktami postępuje niezbyt skrupulatnie: jeżeli coś pasuje do kanwy jego wywodów, wtedy nie pyta się o wiarogodność i jakość źródła; w razie potrzeby to, czego dopiero trzeba było dowieść, zamienia na założenie udowodnione, wyprowadzone zaś wnioski są stale w rozdźwięku z rozległością i rzeczywistością punktów wyjścia. Nadto jest on specyalistą, który pracując nad pewną sferą zjawisk, zapomniał, że w świecie objawów ducha gromadnego istnieje jeszcze coś więcej, że społeczeństwo polega nietylko na połączeniu różnej wartości osobników w pewną gromadę, lecz jest czemś bardziej złożonem. Zanik pewnych prądów, ukazanie się zaś innych w życiu zbiorowem jest wypadkową wielu przyczyn, przyczem, w ostatecznej analizie, nie zawsze można powiedzieć stanowczo, co sprawił każdy z działających czynników. Tymczasem Lapouge, bez żadnego skrupułu, kładzie wszystko na karb żywiołów antropologicznych.

Pisarz parodoksalny i nieścisły, jest przecież wart więcej, aniżeli dziesiątki skrupulatnych i powściągliwych biurokratów wiedzy, którzy tylko dlatego trzymają się utartych gościńców i nie sypią błędami, ponieważ popierwsze nie stać ich na to, powtóre zaś obawiają się, iż mogą skompromitować swoje imię wypowiedzeniem czegoś prawdziwego i nowego, ale mało popularnego. Antropolog francuski należy do owych zapładniaczów, którzy puszczają w świat dużo wniosków nieuprawnionych, bo wogóle wygłosili sporo oryginalnego i śmiałego. Najnowsza jego praca *Dobory społeczne* *) sprawiła mi przyjemność, jakiej oddawna nie doznawałem. Odważną ręką nakreślił on parę zagadnień pierwszorzędnej wagi dla życia społecznego, przesadził tylko w nałożeniu barw. Naturalnie, trzeba tam niemal na każdej stronicy zrobić jakieś zastrzeżenie, ale to nie uszczupla korzyści z przeczytania książki: w umyśle pozostaje szereg pytajników, podniecających wyobraźnię i domagających się odpowiedzi. Można nie zgadzać się z autorem, ale niepodobna nie czuć wdzięczności dla niego za dostarczony pokarm. Zresztą jest on w swojej najświeższej pracy powściągliwszy: forma książkowa zmusiła do uważniejszego liczenia się z faktami.

Przystępując do przedstawienia jego wywodów, poprzestaniemy na tem, co w książce jest zasadniczem i dostatecznie udowodnionem.

*) G. Vacker de Lapouge: *Les sélections* [illegible] Paryż. str. 504, u A. Foulemoing'a.

I.

Możemy rozpatrywać postęp z bardzo odmiennych punktów widzenia. Rozpowszechnianie np. oświaty w pewnem społeczeństwie jest sprawą olbrzymiej doniosłości: podnosi ono umysłowość kraju, przyczynia się do wzrostu zamożności powszechnej, urozmaica życie pojedynczych obywateli. Dobrobyt zaś materyalny, zabezpieczający każdemu dostateczne utrzymanie, stanowi nieodzowną podstawę dla zdrowego rozwoju narodu na przyszłość. Ale podniesienie poziomu oświaty i dobrobytu bynajmniej nie oznacza jeszcze, ażeby w parze z temi zjawiskami szło podwyższenie wartości antropologicznej członków społeczeństwa, tj. ich uzdolnień i wrażliwości duchowej, przedewszystkiem zaś hartu ducha i mocy charakterów — te ostatnie własności w rozwoju dziejowym są ważniejsze, niż zdolności czysto umysłowe. Lapouge roztrząsa właśnie objawy takiego postępu — antropologicznego. Pragnie on poznać, o ile pewien naród jest skąpiej lub obficiej uposażony w pierwiastki duchowe i emocyonalne podczas różnych faz swojej historyi, które to pierwiastki bądź co bądź stanowią o jego potędze i roli dziejowej. Jak najlepsza szkoła z idyoty nie zrobi geniusza, tak samo najprzyjaźniejsze warunki materyalne pozostaną bez wpływu, skoro w danej okolicy osiędzie szczep bez inicyatywy: nie odegra on roli prowodyra dziejowego, lecz kopciuszka.

Zmiany, które nastają w pewnym narodzie, odbywają się pod wpływem dwojakiej natury czynników: jedne z nich ogarniają ogół ziomków, drugie — tylko niektórych. Są to: zwykła „transmutacya," oraz dobory. Zmiany pierwszego rodzaju możemy przyrównać do pola, zasianego zbożem: ze wszystkich ziarn wychodzą pędy, rosną równolegle ku górze i dają początek jednakim kłosom. Dobory to las, w którym tylko pewne drzewa rozrosły się i rozgałęziły na wszystkie strony, tymczasem inne zmarniały w cieniu. Istnieje więc różnica stanowcza pomiędzy ewolucyą masową, obejmującą cały naród, a ewolucyą, polegającą na doborze i ograniczoną tylko do pewnej grupy osób.

Dotychczas panowało powszechne przekonanie, że postęp społeczny polegał na masowem doskonaleniu się wszystkich członków danego społeczeństwa. W istocie jednak takie powszechne zmiany są bardzo rzadkie i odbywały się głównie pod oddziaływaniem czynników naturalnych. Lud, który znalazł się w nowych warunkach klimatycznych, przekształcał się odpowiednio, chociaż i w tym razie dobór przyczyniał się w bardzo wielkiej mierze do otrzymania ostatecznego rezultatu: usuwał on tych, którzy nie mogli przystosować się do nowego otoczenia, karząc ich za opór chorobami, przedwczesną śmiercią i brakiem potomków. Może tylko krzyżowanie oddziaływało zawsze w sposób masowy — na wszystkich członków narodu. Wpływ oświaty jest pod tym względem żaden. Studya Weissmana i innych dowiodły, że cechy nabyte w życiu indywidualnem, o ile nie są to zwyrodnienia i zakażenia organizmu, nie przechodzą na potomków. Można oddawać dzieciom w spadku tylko te własności, które ktoś przyniósł z sobą na świat. Oświata rozwija umysł, przygotowuje bardziej świadomych obywateli kraju, lecz jej skutki schodzą do grobu z jednostką i nie przyczyniają się do podniesienia skali wartości antropologicznej.

Tymczasem dobory przedstawiają istotną dźwignię dotychczasowego rozwoju antropologicznego. Działają one w ten sposób, iż usuwają systematycznie z pośród społeczeństwa pewne charaktery i uzdolnienia, pozostawiając zaś w niem inne, które przechodząc na potomków, zaczynają rozpowszechniać się coraz bardziej.

Skutkiem tego, procent dzielności organicznej lub zwyrodnienia w społeczeństwach wzrasta lub spada. „Ludy — pisze Lapouge — w swojej całości nie postępują naprzód, ani nie cofają się wstecz. Zawierają one w sobie dobre i zdrowe pierwiastki, które rozmnażają się, i inne, które spełniają rolę mikrobów rozkładu, ostateczny zaś wynik takiej nieustannej fermentacyi odciska się w umysłach powierzchownych, jako pojęcie ogólnego postępu i zwyrodnienia. Ścisła nauka może rozprawiać jedynie o doborach: dodatnim i ujemnym. Błąd polega nie na założeniu, że istnieje ewolucya, lecz na sposobie uprzytomniania sobie rozwoju postępowego. Ewolucya jest bowiem tylko doborem, ale nigdy ruchem całości." Badacz francuski, mówiąc w ten sposób, ma na myśli jedynie rozwój uzdolnień i charakterów, tj. ewolucyę narodu pod względem antropologicznym.

Naród, co do swego składu, przedstawia istotę, podlegającą nieustannej zmianie. Jedne typy rozmnażają się w nim obficie skutkiem sprzyjających warunków, inne zanikają. Każda instytucya wywiera pewien wpływ na obywateli kraju, dodatni lub ujemny, przyczem natura tego oddziaływania zmienia się z biegiem czasu: to samo urządzenie może w pewnym okresie dziejów wywoływać skutki dobroczynne, w innym — szkodliwe. Dobór wojenny w epoce barbarzyństwa, gdy wszystkich plemieńców obowiązywała służba wojskowa w razie pospolitego ruszenia, był narzędziem, usuwającem z narodu zdechlaków i słabowitych; ale ograniczony powoływaniem do wojska tylko najsilniejszych i najzdrowszych młodzieńców, zamienia się on na przyczynę zwyrodnienia. Tak samo działało ongi wielożeństwo: za barbarzyństwa tylko wodzowie i starszyzna plemienia mieli prawo posiadania wielu żon, godności zaś składała wola ogółu w ręce najzasłużeńszych i najdzielniejszych. Pierwiastki eugenistyczne pozostawiały liczniejszych potomków, aniżeli inne. Dobór, dokonywany w społeczeństwie pod wpływem pewnej instytucyi, podważa nieraz, z biegiem czasu, jej istnienie — np. celibat kapłanów budyjskich w Tybecie. Do sprawowania obowiązków kapłańskich biorą się tam osoby, swojemi zdolnościami wybiegające zwykle ponad przeciętną normę, lecz jednocześnie gorące i egzaltowane. Odbywa się to od wieków. Po dostatecznym przeciągu czasu naród zostaje wyjałowiony z natur wrzących, zamiast typu egzaltowanego zjawia się chłodny i rozważny sceptyk. Celibat zadał cios budyzmowi i nawet wszelkiemu duchowi religijnemu. To znowu miasto ściąga do siebie ze wszystkich krańców kraju żywioły ruchliwe, przedsiębiercze i pełne oryginalności, i skazując je na zwyrodnienie i zagładę w swoich murach, ogołaca naród z odpowiednich charakterów, stanowiących największą rękojmię postępu. Słowem, te lub inne formy związku rodzinno-małżeńskiego, poglądy i ideje krążące w społeczeństwie, istniejące urządzenia, stosunki i instytucye wywierają nieustannie swój wpływ i przekształcają skład narodu. Z energicznego zamienia się on na bierny, z tchórzliwego na odważny, z pobożnego na sceptyka.

Dobory, jako narzędzie, przekształcające naród i nadające mu inną fizyognomię emocyonalną, działają szybko i silnie. Przy korzystnym splocie okoliczności, są one najskuteczniejszym środkiem postępu; gdy warunki odwrócą się, doprowadzają dany szczep do rychłego wyjałowienia i upadku. Wyobraźmy sobie dwie grupy charakterów w pewnym narodzie: jedną wojowniczą i ruchliwą, która—mniejsza w jaki sposób — zastosowywa swoją energię, czy na drodze walki materyalnej lub idejowej, i drugą, poddańczą i służalczą. Przypuśćmy dalej, że obie posiadają jednaką płodność, mianowicie, że przyrost roczny wynosi 4%, ale że pierwsza, skutkiem swojej przedsiębierczości, jest narażona na większą śmiertelność, bo 5%, druga zaś na mniejszą, tylko 9%. Niespełna w ciągu wieku rasa inicyatorów i awanturników wygaśnie, i historya, zamiast świetnych stronic, zacznie przedstawiać obraz upadku politycznego i moralnego. Albo weźmy inne cyfry. Przypuśćmy, że śmiertelność obu grup jest jednakowa, lecz przyrost odmienny: jedna powiększa się rocznie o 3%, druga zaś o 4%. Jeżeli pierwiastkowo były one jednako liczne w społeczeństwie, to stosunek ów będzie już stargany po kilku pokoleniach, i po upływie trzech stuleci grupa energiczna będzie stanowiła tylko 7% ogólnej liczebności służalców i niedołęgów. Paręset lat bardzo słabego doboru może więc do szczętu przekształcić fizyognomię pewnego ludu, duchową i emocyonalną. W ciągu swego życia, zdolna osoba pozostaje zdolną, ślamazarna nie przeniewierza się swemu niedołęstwu, brunet zejdzie do grobu z tą barwą oka, którą z sobą przyniósł na świat. Ale w życiu narodów dzieje się inaczej. Tam, przy nieoględnej hygienie gromadnej, Grek, dzielny i śmiały, z czasów wojen perskich, może zejść na nikczemnego „graeculusa" monarchii rzymskiej, niezdolnego do poczęcia wielkiego czynu i wielkiej myśli, lecz odznaczającego się jedynie umiejętnością naśladownictwa. Przyroda pozostała ta sama, niebo nie zmieniło swej gry kolorów, język nie uległ zmianie, zajaśniały wzory przeszłej obywatelskości i sztuki, ale duch wyjałowiał, bo mieszkaniec Hellady zwyrodniał. Wojny domowe, emigracya i inne przyczyny wytępiły w Grecyi żywioły eugenistyczne. Pozostały w kraju filozofów i bohaterów wybiórki emocyonalne, dla których zaciężkim okazał się spadek po wielkich ojcach. Kapitał antropologiczny rasy został roztrwoniony niepowrotnie.

Lapouge w książce swojej rozpatruje z kolei różne dobory społeczne, działające śród rodu ludzkiego w przeszłości i teraźniejszości. Poddaje on rozbiorowi skutki wojny w różnych okresach dziejowych, dodatnie za barbarzyństwa, ujemne w obecnej fazie historycznej, zastanawia się nad doborem politycznym, tj. działaniem walk partyjnych i wojen domowych, które jego zdaniem zawsze wywierało skutki jak najfatalniejsze, bo ogołacało kraj z ruchliwych umysłów i szerzyło instynkty trzodowe. W dalszym ciągu roztrząsa on wpływy doboru religijnego, o którym mówiliśmy już powyżej, urządzeń małżeńskich itd. Wywodom jego można wiele zarzucić, lecz wogóle wzięte, są one słuszne.

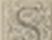
Badacz francuski, analizując zmiany, które zaszły w składzie narodów, stara się dowieść, że podstawą ich był dobór rasowy: wzrost żywiołów długogłowych w okresach rozkwitu, krótkogłowców zaś, gdy kraj powien upadał. Nad tem zatrzymamy się w przyszłym artykule.

K.

LITERATURA I SZTUKA.

NASZA UMYSŁOWOŚĆ SPÓŁCZESNA.

IV

więcie wierzymy, że nie zbywa nam i nie zbywało przed r. 1894-m na książkach głęboko pomyślanych i nawet genialnych, przeznaczonych chlubnie świadczyć o niezwykłych zdolnościach ich autorów i stanowić pożytek pokoleń wieku XXVII-o. Gwiazda Kopernika nierychło wszak nad głowami współrodaków zabłysła; metafizyczne chmury Hoene-Wrońskich za lat trzysta dopiero może się rozproszą; w kwietniowym zeszycie czasopisma *Ateneum* znajduje się sprawozdanie z dzieła Iksmokula (Łukomskiego) p. t. *De omni re scibili* (Paryż, 1895), w którem to dziele dość jest dotknąć się jedynie teoryi ciepła, pojętego jako obrotowy ruch materyi kosmicznej, ażeby w palcach poczuć radośne drgnięcie jedenastej i dwunastej po nas generacyi... Ale, komety takie nie wchodzą do rachuby świateł, składających się na widzialny firmament naszej umysłowości bieżącej, „współczesnej." Najzdrowsze powietrze, którem się nie oddycha, płuc nie pokrzepi; najrozumniejsza książka, której się nie czyta, z nędzy duchowej nikogo nie podźwignie. Poczytność to najwyższy probierz — jeżeli nie dzieła czytanego, to czytającego ogółu.

W zwierciadełku pp. Gebethnera i Wolffa znajduje się pod tym względem kilka wskazówek cennych. Zbieramy je tu bez żadnego już silenia się na wykwint regestratorski. Opuszcza nas w istocie i złość, i dowcip, i kąśliwość, i uśmiech, na widok, że te nasze „powodzenia" literacko-naukowo są tak jeszcze biedne i młode, wahające się i nieśmiałe...

Druków treści historycznej, ekonomicznej, pedagogicznej, przyrodniczej, któreby spotkała perfekcya—skądinąd prawdopodobnie zasłużona — „Starej Baśni" Kraszewskiego, albo też ołtarzyka Kamockiej „dla młodego wieku" („opr. ozdobnie, w szagryn z klamrą, brzegi złocone rs. 2.40, lub w wytworniejszych oprawach w skórkę, aksamit itd. od rs. 4 do 6") — druków takich wyszukiwać w katalogu trzeba—nota bene bez skutku—z niezmiernem natężeniem wzroku i uwagi. Wszelakoż, brzegi złocone i ozdobną płócienną oprawę pozyskały dwa zbiorki: „Kwiaty rodzinne" Narcyzy Żmichowskiej, które jednocześnie doczekały się w r. 1894 trzeciej edycyi, oraz niesympatyczna, bezdarna, licha, stronnicza i niestrawna kompilacya niemiecka Leixnera p. t. „Wiek XIX-ty."

O książkach naukowych, przypominających wziętością „Kucharza Polskiego," lub słynne „Obiady" pani Ćwierciakiewiczowej, ma się rozumieć nie może być mowy. Po za szósty stopień pokupności publicznej nie sięgnęło u nas — jak się zdaje — żadne dzieło świeckie, nie-beletrystyczne. Wydaniem piątem, ku wielkiemu rozradowaniu oczu i serca, cieszą się nasamprzód: Supińskiego „Siedm wieczorów" (1883) i Wielogłowskiego „Niewiasta" (1860), zarazem atoli, niby nagłe uderzenie w głowę obuchem konwenansu po dwóch serdecznych uściskach dłoni — Zygmunta J. A. „Nowy zbiór powinszowań" (1894), oraz „wyczerpane" w wydaniu czwartem: „Zwyczaje towarzyskie, w ważniejszych okolicznościach życia przyjęte, według dzieł francuskich spisane" (1883). Po czem, z kwalifikacyą również czwartostopniową, lecz bez znaku plus, idą: Spencera „O wychowaniu" w tłómaczeniu M. Siemiradzkiego (1890), Strasslego „Historya naturalna" w uzupełnieniu prof. Wrześniowskiego (1887) i Weitzenblutta „Mężatka i matka, czyli przepisy zachowania się kobiet w stanie brzemiennym" (1885). Z dzieł trzykrotnie przed r. 1894 odtłoczonych, wymieniamy: „Historyę" Bobrzyńskiego, „Kobiety" Chmielowskiego i „Błędy nasze w piśmie i mowie" Walickiego, ale tuż zaraz obok: Spirydiona „Kodeks światowy, czyli znajomość życia we wszelkich stosunkach z ludźmi..." Wyczerpały się edycye wtóre: Dzieduszyckiej „O wychowaniu" (1874), Estkowskiego „Pierwsza książka do czytania" (bez daty, zob. katal. str. 28), Goltza „Rady gospodarskie" (1862), Henricha

„Przewodnik dla stolarzy" (1882). Hirschla „Przewodnik dla mularzy" (1876), Zdanowicza „Historya powszechna" w uzupełnieniu Grochowskiego (1871) itp. Do niewyczerpanych w drugiem wydaniu, pomiędzy innemi należą: Kanteckiego „Ossoliński" (1880), Kosińskiego „Przewodnik heraldyczny" (1877), Liebiga „Chemia zastosowana do rolnictwa" (1871—73), Łyskowskiego „Gospodarz" (1894), d-ra Polaka „Podręcznik leczniczy" (1875), Sawickiego „Rady dla młodych mężatek" (1890).

Doraźne zestawienie niektórych dat i przedmiotów ujawnia niezrozumiałą na pierwszy rzut oka anomalię w wydawnictwach „wyczerpanych." Książka pewna najwyraźniej była z początku nader poczytną, w handlu nie istnieje oddawna — a przecież wyjść nie może z antraktowego swego odpoczynku. Znana przypowieść o ślepym trafie w obiegu książek odegrała tu niewątpliwie jakąś rólkę, ale nie tak znowu wielką i znaczącą. Zaniechanie „Kwestyi włościańskiej" Kozakiewicza z r. 1860, „Plantacyi buraków" Maciejowskiego z 1858, „Przewodnika dla giserów" Miecznikowskiego z 1864, „Podatków gruntowych" Trzetrzewińskiego z 1861, „Uwag o wkładaniu wyżłów" Wrześniowskiego z 1879, tłomaczy się poniekąd skaduczeniem przedmiotu lub zbyt specyalną jego naturą, jakkolwiek nie spostrzegamy świeższego tych spraw podniesienia. Obok tego, widoczny zanik zainteresowania do takich rozpraw historycznych, jak Jarochowskiego „Nowe opowiadania," Smolki „Mieszko stary," Szujskiego „Odrodzenie i Reformacya," znamionować mógłby, wobec milczenia młodszych na tem polu sił i talentów, zwrot opinii publicznej do realizmu lub w stronę dążności mniej zacofanych. Ale przeczy temu większa jeszcze obojętność na prace Buckle'ów, Baudrillartów, Draperów, Emersonów, Lavergne'ów, Scherrow, Tyndallów. Szczególnie drażniącemi wobec tej niepewności stają się adnotacye „bessowe," czyli redukcye do połowy i trzeciej części cen pierwotnych przy dziełach tej osnowy, co: Bagehota „O początku narodów," Spencera „Zasady pierwsze," Peschla „Etnologia," Balfoura „Zachowanie energii," Pettigrewa „Ruchy zwierzęce" itd. itd. Z rzeczy oryginalnych zniżce owej uległy do r. 1894 dwie tylko — lecz w sposób nader wymowny, bo dotyczący Stęczyńskiego „Tatrów w obrazach" (1860) i Prądzyńskiego „Praw kobiety" (1875). Nadmienimy przy sposobności, że także znieważająca handlowa marka dotknęła czasopisma: „Przegląd techniczny," „Przyrodę i przemysł," tudzież dwutomowe „Zbiorowe pismo" Ohryzki, z którego katalog słusznie wymienia prace Bielowskiego, Wójcickiego, Skarbka, Małeckiego, Odyńca, Lelewela, Łaguny i „wiele innych cennych artykułów" (str. 103). Na stronicach 73—80, 87—92, 95—106 monografii St. I. Czarnowskiego „Dziennikarstwo słowiańskie i polskie" zniewaga jest stokroć jeszcze dotkliwszą, obejmuje zaś tytułów i pozycyj co najmniej z osiemdziesiąt.

Niezależnie od jakichkolwiek „kursów" giełdowo-księgarskich, umiejętność nasza tegoczesna zajmuje w spisie rangę mniej niż podrzędną, w niektórych działach mniej niż upośledzoną i nędzną, gdzieniegdzie wprost upokarzającą. W pedagogice tarzają się samotne, zszarzałe, wilgocią zjedzone okładki Wernica i Dawida. W przyrodoznawstwie, budowę jego elementarną znośnie jeszcze podtrzymują imiona Jurkiewicza, Nussbauma, Wrześniowskiego, Znatowicza, ale wiązania i dachy tej budowy są tak wątłe i szczupłe, że aż gorąco od wstydu się robi: reprezentuje je rozprawka Reichmana o Jędrzeju Śniadeckim i Darwinie z r. 1864 (kartek 12, kop. 30). W kosmografii i astronomii niepodzielnie rozpierają się Verne i Flammarion. W geologii — jeden tylko numer: dr. Karol Szymański, o bazaltach i trachitach w ogólności (1867). Krajoznawstwo wspierają: klasyczny Tyszkiewicz ze swoją Wilią, Tatomir z Galicyą i Nałkowski z zapowiedzianym na r. 1894 poglądowym zarysem geografii powszechnej. Nieco przystojniej występuje podróżopisarstwo w osobach Bełzy, Chełmickiego, Grzegorzowskiego („Z kresów połabskich," 1885), Sygurda Wiśniowskiego i Wielogłowskiego („Podróż do Rzymu i Paryża," 1863). Ekonomikę społeczną i domową, posiadającą na Zachodzie osobne gmachy biblioteczne, dźwiga jeden jedyny autor: Langie i jego cztery odczyty o gospodarstwie kobiecem (1885—7). Chwat obrobił buchhalteryę podwójną (1891), Czerny — geografię handlową (1884), ale już po historyę handlu cofnąć się trzeba aż do r. 1865 (Gąsiorowski)! O psychologii ludów nie mamy najmniejszego wyobrażenia; poprzestać w tym zakresie trzeba na bezimiennej broszurce (str. 41) z r. 1877, p. t.: „Zarysy charakteru Germanów i Słowian." Dzieje powszechne, po za wyczerpanym przekładem Schlossera (Wiek XVIII i XIX), nie istnieją wcale w odrobieniu samoistnem. Początki chrystyanizmu znamy wyłącznie z Fabioli kardynała Wisemana, z *Wiwii Perpetui*, czyli „zastępu bohaterów chrześciańskich," przez autorkę pracy „Pokój wam!" — oraz z romansu Wallace'a „Ben Hur..." Porównawcza literatura ludów słowiańskich posiada wystarczający snadź dowód swej żywotności w Siwińskiego „Lekcyi wstępnej na kursach przygotowawczych do Szkoły Głównej" (1873, str. 37, kop. 20). O takiejże literaturze porównawczej powszechnej nikt nie słyszał, słyszec nie potrzebował. W historyozofii ogólnej, od Vico i Monteskiusza do Herdera, świeci samotnie rozprawka Pawińskiego o Buckle'u (1869, str. 47, kop. 40). Polityczna i obyczajowa historya kończącego się stulecia nie była poruszaną... Nie dotknięto też i krytyki historycznej... Ani filozofii... Ani jej dziejów powszechnych lub krajowych... Ani mitologii ludów pierwotnych... Ani filologii porównawczej ludów żyjących... Nic, nic — cisza i pustka żałosna po najdalsze, najbardziej promienne krańce ludów i wieków, a wśród włóczących się dokoła mgieł bajeczności romansopisarskiej i fantastycznych, ciemnych majaczeń gminnych...

Jakto? — i p. Ignacy Matuszewski, pisarz wykształcony, utalentowany, naprawdę sądzi, że na tak okropnie połamaną i długiemi smugami nieużytków zasnutą szachownicę pół-świadomości społecznej, wprowadzoną być może kwestya nowego ogólnego kierunku literacko-psychologicznego?... — zwłaszcza zaś, że wprowadzoną być może pod postacią lewitacyi stolików dwudziestofuntowych, pukań tajemniczych i napowietrznego ukazywania się widm zaświatowych?. Powierzchnia głęboko uprawnej na Zachodzie gleby naukowej pokryła się chwilowo jakimś grzybkiem niepewnym, czy też kwiatkiem mniej więcej narkotycznym, a mybyśmy przedewszystkiem cisnąć się mieli ku przefiancowaniu onego na niziny ojczyste, ogołocone z powszedniego chleba wiedzy?.. A jeżeli to plugawa tylko łupinka hypotezy, oddawna przez odrzuconej z umiejętności ścisłych, rozwiniętych gdzieindziej, u nas zaledwie ze słyszenia znanych? A jeżeli to zarazek gorączki nadgangesowej i zabójcze tchnienie epidemii fakiryzmu, która starszych pobratymców naszych w rodzinie aryjskiej skazała na wiekuisty bezład, bezwład i niewolę ducha? A jeżeli to trująca woń ze ścieku doświadczeń szpitalnych, terapeutycznych, dokonywanych bezkarnie jedynie tam, gdzie zachowane być mogą w pełni niezbędne środki ostrożności dezynfekcyjnej? Dziedzice ugorów, bagnisk, wydm, tak bujnie porastających w gusła i niedomówienia przesądne — mybyśmy upędzać się mieli za tą marą, za tym błędnym, wędrownym ognikiem przejrzałości cudzej, wówczas gdy własna nasza niedojrzałość zdobyła się od kilku wiosen dopiero na pierwsze krzewiny nauki pozytywnej, metodycznemi studyami podpartej?.. Mybyśmy tracić mieli czas i siły na dociekania nad nieważkimi pyłkami i kadzidełkami magii czarnoksięskiej, wtedy, gdy nagie, wczoraj zaledwie podorane odłogi logiki i systematyki naszej wymagają tylu rąk silnych, tylu serc czystych, tylu głów czerstwych?..

J. Tokarzewicz (Hodi).

LISTY PETERSBURSKIE.

Zaledwo dwie wystawy obrazów zamknięto, otworzono naraz — cztery.

Wystawa Ajwazowskiego przedstawiała widok uroczysty. Jest to bez wątpienia król marynistów, ale tylko marynistów; tam, gdzie się pokusił o alegoryę i wprowadził postacie, zepsuł obraz. Za to burze morskie udają się mu najlepiej; na jednem z płócien nie widzimy nawet wybrzeża: spienione morze, zwichrzone chmury splotły się, zmieszały, utworzyły chaotyczną przestrzeń, nasyconą mgłami do takiego stopnia, że dłużej patrząc na obraz, czujemy dreszcz.

Wystawa obrazów słynnego w swym czasie Wereszczagina—nie dopisała. Twórca znamienitej apoteozy wojny w kształcie piramidy z ludzkich czaszek — w rzeczywistości ułożonej niegdyś przez Tamerlana — tym razem zdrobniał. Sześć płócien z wojny 1812 r. przedstawia historyę porażki Napoleona. Poezyi i grozy trudno tu odszukać. Na jednem z nich widzimy konie, ustawione w soborze Uspienskim. Wykończenie obrazu dobre, ale nic więcej.

Na wystawie Akademii sztuk pięknych wybitniejszych prac niewiele; to też nie utrudzając czytelnika, możemy je wymienić: „Niemen" Żukowskiego jest dziwnie czarownym, rzekłbyś, że to ów bohater z pieśni Mickiewicza, co w szerokie ramiona porywa kochankę — tyle tu poezyi, wdzięku, siły. Renberg dał obraz pod nazwą: „Ilia-Muromiec i Samochwała": typy legendowe, przedstawione doskonale. Samochwała upstrzony, obarczony rynsztunkiem, jadący na zwinnym koniu, spotyka Ilię — przechwala się przed nim, wstrząsa dzirytem. Ilia zaś, ubrany skromnie, siedzący na krępym stępaku, zatrzymuje się wśród pola, ponuro, ale z poczuciem siły patrzy na Samochwałę, w prawej, bezwładnie zawieszonej ręce ściska dużą, żelazną buławę—koniec wiadomy.

Eberling wystawił obrazek alegoryczny pod nazwą: „Stary i nowy artyzm." W przysionku świątyni ubrana skromnie w czarnej długiej szacie stoi poważna niewiasta, a tuż przed nią na pierwszym planie wśród kwiatów siedzi niedbale strojnisia... Utwór ten nie odznacza się szczególnem wykończeniem, ale poezyi w nim dużo i zmusza do myślenia nad dolą artyzmu wczoraj i dzisiaj.

Trzy obrazy Bakałowicza — jak zwykle niezmiernie ładnie wykończone i jak zwykle niezbyt grzeszące myślą — są ozdobą wystawy.

Dodajmy do tego parę prac Dukszyńskiej, ładne widoki Kryżyckiego i przerzućmy się na wystawę Stowarzyszenia malarzy, do gmachu Akademii nauk. Jest to niby drugi tom wystawy akademickiej, to też dekadentyzm (przepraszam — impresyonizm) nieśmiało tu zagląda. Kilka obrazów wybitnych, niemało dobrych, ale dzieł mistrzowskich — brak!..

Baronowa Pahlen dała dwa obrazki: „Szwaczkę“ i „Joannę d'Arc“—oba ładne. Pierwszy tchnie prawdą i pewną smutną poezyą: Biedna dziewczyna czuwała noc całą i oto nad rankiem, usnęła nad pracą. Lampa gorejąca rzuca odblaski na prawą stronę jej oblicza, zaczynający się zaś dzień oświetla lewą stronę: dla techniki pole obszerne — artystka wyzyskała je w zupełności.

„Pasterka orleańska“ inne sprawia wrażenie: jest to po prostu portret jakiejś inteligentnej osoby, prawdopodobnie studentki. Chorągiew na ramieniu nie dodaje złudzenia. Zaznaczmy jeszcze dobrze wykończony obrazek Lützowa: „Alchemik w pracowni“ i Majmona „Mój bukiet z każdym dniem więdnie.“ Jest to postać młodej, pełnej wdzięku niewiasty, zamyślonej, smutnej. Na kolanach jej leży bukiet pół-zwiędły — i nic więcej. A jednak poezyi tu wiele. Co się tyczy widoków, są prace: Kazanowa, Kondratjewa, Jegornowa, Sergiejewa, Meszczerskiego, Piotrowicza itd., ale wszystko to zwykłego poziomu prac nie przewyższa. Najładniejszą jednak rzeczą na całej wystawie jest marmurowa główka niewiasty Sali, nazwana „Marzeniem.“ Tyle w niej wdzięku i artyzmu, że śmiało może się kusić o palmę pierwszeństwa z najlepszemi rzeźbami.

Ruchoma wystawa jest dziwnie pstrą. Obok prac czysto akademickiej natury, jak np. widoki Beggrowa, usadowił się impresyonista Lewitan— i nikomu to nie zawadza, owszem, uwydatnia obrazy. Zresztą tutaj zgromadziły się najwybitniejsze siły, przynajmniej co się tyczy widoków: Wołkow, Szyszkin, Wasniecow i wreszcie Lewitan, Dubowski, Beggrow— wszystko to imiona znane, a koniec końców po zwiedzeniu wystawy pozostaje prawie tyle w umyśle, ile po wysłuchaniu dobrego koncertu: przyjemne wrażenie — nic więcej. Bez wątpienia, gdyby gdzieś w ciemnym zakątku spotkać któryś z utworów Wołkowa, Szyszkina, mógłby bardziej się podobać, ale gdy ich widuje się co rok kilka i wszystkie są sobie równe we wszystkich doskonałościach—np. mgliste powietrze, kilka drzew, nieco wody, zielska — i tak ciągle bez żadnych odmian—staje się to wreszcie powszednim.

Na szczęście, i tutaj jest kilka obrazów dość oryginalnych, że można coś o nich powiedzieć. Bohdanow-Bielski przedstawia wnętrze szkoły wiejskiej. Nauczyciel dał chłopakom zagadnienie arytmetyczne — i oto niesforna grupa spoważniała, zamyśliła się — ile głów, tyle charakterów. Polenow ukazał duży obraz pod nazwą „Wpośród nauczycieli.“ Jest to wizerunek Chrystusa-pacholęcia, rozprawiającego w synagodze ze starcami. Artysta wypełnił zadanie z wielką znajomością rzeczy; w każdym ruchu zgromadzonych postaci czuje się prawdę życiową.

Z widoków odznaczmy szczególnie ładny Dubowskiego „Imatra.“ Jest to cząstka słynnego wodospadu; spienione fale, przerzucające się bałwany, zrobiłyby honor nawet pędzlowi Ajwazowskiego. Wreszcie malutki obrazek Karyńskiej „W okolicy,“ przedstawiający kawał płotu, wrota wiejskie, drożynę, wygon — do takiego stopnia ponętny, że ciągle się do niego wraca.

Ostatnia — bez nazwy — mieszcząca się na Newskim prospekcie, może się nazwać wystawą impresyonistów, chociaż i tutaj dla ozdoby jest po jednym obrazku starej szkoły: Dukszyńskiej, Kryżyckiego, Swierczkowa, Medom, Berholtza, Klewera. Przedstawicielami jednak wystawy są Ciągliński i Krawczenko portrecista. I co też oni tu dokazują, aż podziw bierze: jednym ruchem pędzla tworzą obraz i każą wierzyć, że tak być powinno. A jednak, czy już oko przywykło, czy też panowie impresyoniści znaleźli jakiś szczególny sekret na ludzkie oczy, obrazy te nie rażą już tak swą niesfornością, jak w początku. A praca Baksta — dziwna jakaś główka upiora, pokryta włosem rudym, rozstrzępionym, z obliczem sino-bladem, z mętnym wzrokiem — nawet pozostawia silne wrażenie. Rzeźbiarz Sala rzucił tu dwa niedokończone utwory: matkę z dziecięciem i głowę Maura. W każdem cięciu rylca czuć artystę niepośledniej siły.

Z prac Ciąglińskiego zwraca uwagę „Natchnienie.“ Na odłamie skały siedzi zadumana niewiasta i patrzy w tumanną dal — het po za morza, po za góry; czoło jej zdobi wieniec, nad głową połyskuje gwiazda, u jej stóp bawi się kwiatami dziecię-cherubek. Wszystko to mgliste, na pół opracowane, ale poezyi w tym obrazku nie brak.

Sumując wrażenia, otrzymane z sześciu wystaw, musimy wyznać, że malarstwo chociaż nic wybitniejszego nie stworzyło, ale bynajmniej nie jest upośledzone w porównaniu z tegoczesną literaturą, a nawet przewyższa ją, albowiem w zakresie piśmiennictwa ostatnimi czasy niewiele zrobiono— nie stworzono żadnego dzieła wybitnego.

N. B.

POEZYE.

SONETY.

Wiosna.

Uśmiechasz się, bogini snów? Perłową rosą
Leciuchno rzeźwisz rozespane ziemi szmaty?
Tam, w drżącej świtu toni, błysnął rój skrzydlaty—
Czy to twoje służebne kwiatuszkom woń niosą?

Tam, śród powodzi blasków, słyszę śpiew. Czy to są
Pienia tych anioleczków, co je rodzą kwiaty
Wiosenne, a świt tuli w całun popielaty,
Nożęta wijąc w listki, by nie były boso?

Tam, w głębi, słyszę życia rozpoczęte dzieło,
Zniknął z ziemi śnieg biały, niby runo o-[wiec]...

Słyszę szmer jakiś. Czy to ziemi serce drgnęło?

Tam, w oddali, coś błyszczy, niby świeża ruta—
Czy to twoja pierś biała, zielenią osnuta?
Czy to ty idziesz jasna, wonna? ty? ty? Powiedz!..

Dąb.

Widziałem niegdyś dąb jesienią: falą całą
Otrząsał krwawe liście w swym pysznym przekwicie.
Lecz kilka z nich nie spadło i zimę przetrwało,
Pod całunem ze śniegu spoczywając skrycie.

Dopiero wiosną, kiedy z zieleni nawałą
Wionęło nagle sennej ziemi nowe życie,
Drgnęły zlekka, jak ze snu przebudzone ciało,
I smętnym szmerem spadły na ziemi powicie.

Są serca, które mają w sobie hart stalowy:
Chociaż miłość w nich zamrze, lecz każdy zakątek
Drży powiewem litości, popiołem pamiątek

I tchnieniem rezygnacyi. Tylko, kiedy nowej,
Świeżej miłości urok błyśnie promieniście,
Znika dawne kochanie, jak powiędłe liście.

Władysław Sterling.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PODBOJE KULTURY.

Ktoś przed laty powiedział, że Polesie jest śpichlerzem Europy, tj. wtedy, gdy istotnych bogactw tych obszarów nie znano, lub nie zdawano z nich sprawy. Kraj o gruntach lekkich, pokryty lasami i moczarami, obejmujący 8,000,000 dziesięcin kwadratowych (16,000 wiorst), tj. trzy razy większy od Belgii, zasilał przez długie lata porty baltyckie i czarnomorskie jednym tylko produktem: drzewem, i to głównie dzięki toporowi niemieckiemu. Był to jedyny czynnik „kulturalny,“ najbrutalniejszy i najbardziej barbarzyński. Zubożył on kraj i wzbogacił spekulantów-przybyszów, ale nie oddziałał na ludność miejscową. Poleszuk pozostał zawsze Poleszukiem, chodzącym w ubraniu z samodziału i w łapciach z młodej kory lipowej, z poczuciem nadzwyczaj ograniczonych potrzeb, niewiele wyższych od wymagań Jakutów lub Kamczadalów. Łowił wyziny, zbierał grzyby i sprzedawał je na jarmarkach małomiasteczkowych. Kupował niewiele, bo przeważnie najniezbędniejsze produkty sam wytwarzał i sam spożywał. Po lasach sosnowych, jako źródło zarobku, pozostały mu pnie smoliste, które mozolnie kopał, rozszczepiał na kawałki łuczywa i dostarczał do smolarni, jako produkt surowy. Na wiosnę i w jesieni przyrastał całkowicie do swojej chaty czarnej i niwy ubogiej, bo go otaczały nieprzebyte bagniska, zalane wielką masą wody. Te źródła malaryi i kołtunów miały dla niego urok wielki; tam przebywała zła siła tajemnicza, otulona w opary, ukryta w mchach i oczeretach. Stamtąd płynęły tysiące głosów niezliczonego ptactwa. Na tych wielkich obszarach trzęsawiska nigdy stopa ludzka nie postała; nikt nie wiedział, co się tam dzieje w głębi, bo nie było śmiałka na taką wyprawę.

Przedsięwzięła ją inżynierya z całym rynsztunkiem swej techniki. Przed wyprawą generała Żylińskiego panowało przekonanie, że błota poleskie mają położenie horyzontalne, przy zupełnym braku pochyłości, i leżą nawet niżej poziomu rzek najbliższych, że Prypeć i większa część jej dopływów nie posiadają dostatecznej szadzistości; wreszcie, że błota powstały skutkiem źródeł podziemnych i są przez nie zasilane; że w końcu mają niezmierzone głębie, a więc i osuszenie jest niemożliwe. Poszukiwania wykazały błędność tych mniemań. Przedewszystkiem na całej powierzchni Polesia poczyniono prostopadłe pomiary i zdjęcia. Sieć niwelacyjna (ogólna długość linij 21,500 wiorst) rozłożyła się tak, iż utworzyła nieprzerwany łańcuch wielokątów, pozwalających na kontrolę różnic wysokości licznych punktów śród błot i dolin. Niwelacya ta wykazała, że ani równina poleska, ani błota nie tworzą powierzchni horyzontalnej. Stwierdzono, że Polesie jest ogromną równiną, stanowiącą jak gdyby spód olbrzymiego płaskodennego statku z podniesionymi brzegami, które się utworzyły na północo-zachodzie rzek morza Czarnego i Baltyckiego i pod Mińskiem dochodzą do 1,200 stóp nad powierzchnią morza; na południo-zachodzie brzegi te podniosły się również — skutkiem odnóg karpackich, przechodzących w lekkie płaskowzgórza. Przez środek tej równiny płynie Prypeć, sama zaś powierzchnia gruntu składa się z dwu niewidocznych dla wzroku pochyłości, trochę wklęsłych ku Prypeci i w miarę oddalenia od niej wznoszą-

cych się stopniowo w stosunku jednego do dwu sążni na każde dziesięć wiorst. Rzeka wymieniona w pobliżu Pińska przy ujściu Piny płynie o 66 sążni wyżej nad powierzchnią morza, a 18 nad powierzchnią swego ujścia do Dniepru. Ogólna więc pochyłość jej koryta wynosi 4,4 cale na wiorstę. Dopływy jej biorą początek na wzgórzach, otaczających Polesie. Na wierzchowinach swoich mają prąd bystry, a południowe nawet posiadają charakter górski. Na nizinach poleskich mają chociaż słabą pochyłość, ale dostateczną dla biegu.

Poszukiwania geologiczne, w braku naturalnych obnażeń, prowadzono wyłącznie za pomocą otworów świdrowych. W różnych kierunkach, wynoszących ogółem 1,500 wiorst, zrobiono tych otworów 140. głębokości 80—250 stóp. Obok tego zastosowano w wielu miejscach system skopywania ziemi celem odnalezienia żył kruszcu. Badania te wykazały, że wszystkie błotne i podglebne formacye mają na Polesiu ogólny charakter. Warstwa wierzchnia bagnisk prawie wszędzie składa się z torfu mchowego, bardzo świeżego pochodzenia. Grubość jego wynosi 1½—3 sążni, wewnątrz zaś można napotkać resztki drzew. W niektórych miejscowościach bezpośrednio pod torfem leżą błotne rudy żelazne.

Na mocy badań geologicznych i topograficznych wyjaśniono sam proces utworzenia się błot. Wszystkie rzeki, należące do zbiornika Prypeci, na równinach poleskich płyną leniwie, więc przy najlżejszym oporze woda występuje z koryta i szeroko zalewa pobrzeża. Takie przeszkody dla słabych prądów zdarzają się na wiosnę skutkiem tego, iż lody na Prypeci i jej prawych dopływach nie ruszają jednocześnie. Gdy tylko się zaczyna topnienie śniegów w południowej części gubernii Wołyńskiej (w marcu, a nawet kwietniu), dopływy te pędzą masy wody, które w dolinie Prypeci kruszą lody, występują z brzegów i zalewają wielkie przestrzenie między Pińskiem a Turowem. Topnienie śniegów miejscowych jeszcze bardziej zwiększa wylewy wiosenne. Pod Mozyrem zwężone łożysko Prypeci i wysokie jej brzegi utrudniają odpływ środkowego basenu rzeki. Skutkiem takich warunków wysokość wód wiosennych dochodzi do dwu sążni, a szerokość częstokroć rozpościera się przeszło na 20 wiorst. Stoją one czasem do lipca, poczem wstępują w koryta rzek. Część zostaje na nizinach razem z namuleniem, które tamuje nieraz ujście drobnych rzeczek i zamienia je na zamknięte kotliny; woda nieruchoma osadza na dnie muł i piasek. Zjawisko to, powtarzające się przez długi szereg lat, utworzyło właśnie w kierunku dolin rzecznych błota podłużne. Oprócz przyczyn naturalnych działało tutaj także sztuczne zatrzymywanie wód za pomocą tam dla młynów i zagradzania w celach połowu ryb. Skutkiem tego liczne strumienie i rzeczki zamieniły się na bagniska.

Wykrycie procesu powstawania błot poleskich jednocześnie dało wskazówki, jakim sposobem można je najłatwiej usunąć. Przedewszystkiem należało urządzić prawidłowy, swobodny ściek wód z powierzchni bagnisk do rzek, ułatwić bieg, a nawet otworzyć im nowe drogi. Na zasadzie badań i wniosków powyższych, generał Żyliński opracował plan całej sieci kanałów w ten sposób, ażeby one nietylko ułatwiły ściek wód z kotlin i równomiernie je podzieliły na przestrzeni całego zbiornika, ale także dały możność kierowania niemi świadomie, dla usunięcia nadmiernej wilgoci w lasach, położonych na nizinach, i dla utworzenia na powierzchni błot warstwy tak suchej, iżby na niej mogła porastać dobra trawa.

Na wieść o przedsięwzięciu tych robót olbrzymich dały się słyszeć z różnych stron obawy, że osuszenie błot pińskich może szkodliwie wpłynąć na klimat i zasilanie rzek wodą. Z tego względu projekt gen. Żylińskiego poddano ocenie ministeryum komunikacyi, tudzież akademików: Middendorfa i Wiesiołowskiego. Rzeczoznawcy przyszli do przekonania, że kanalizacya może zwiększyć dopływ wody do rzeczek, a następnie zasilić Prypeć, Dniepr, kanał Ogińskiego i całą drogę, łączącą Dniepr z Bugiem, a więc morze Czarne z Bałtykiem. P. Wiesiołowski przytem wyjaśnił, że osuszenie nie zmniejszy deszczów w miejscowościach sąsiednich, klimat bowiem zależy od przyczyn ogólniejszych.

Po stanowczem usunięciu tych obaw, rozpoczęto roboty r. 1874 we wschodniej części Polesia, w pobliżu Rzeczycy, i zamierzono prowadzić je systematycznie, od wschodu ku zachodowi, pod mianem osuszenia ogólnego. Konieczność wszakże skanalizowania znacznych obszarów skarbowych i chęć wciągnięcia do tej pracy prywatnych właścicieli ziemskich, zmieniły cokolwiek plan pierwotny. Skutkiem tego niektóre grupy kanałów powstały wcześniej, niż projektowano, i przybrały charakter robót prywatnych. Rezultaty tej olbrzymiej pracy z końcem r. 1892 tak się przedstawiały: Przeprowadzono niwelacyę w różnych kierunkach, których linie wynoszą ogółem 35,000 wiorst; zrobiono otwory świdrowe, głębokości 20—30 stóp, w 843 punktach; wykonano pomiary hydrometryczne w jedenastu dopływach doliny Prypeci; wreszcie zorganizowano badania meteorologiczne na dwu stacyach: w Wasilewiczach (pow. Rzeczycki) i Pińsku. Cała sieć składa się z kanałów głównych i bocznych. Pierwszych szerokość wynosi od 5 do 20 arszynów, głębokość 1½—4½; drugich: szerokość 3—5, głębokość 1—1½.

Pomyślne rezultaty osuszenia bagnisk dały się spostrzedz bardzo szybko. Przedewszystkiem bagnisty grunt nabrał większej ścisłości, następnie grube, ostre trawy, jak osoka i inne, znikły, a natomiast zjawiła się cienka turzyca itp.; drugiego roku zaczyna porastać stokłosa żytna, trzeciego roślinność staje się bardziej urozmaiconą i zdolną do koszenia. Zupełna jej przemiana następuje po upływie czterech lub sześciu lat. Przerodzenie traw można przyśpieszyć środkami sztucznymi, z których najłatwiejsze i najtańsze jest wypalanie jesienią i na wiosnę pokrycia błot.

Z końcem r. 189_ sieć kanałów głównych i bocznych wynosiła 3,507 wiorst, cała zaś powierzchnia osuszona obejmowała 2,460,000 dzies., z których 310,000 dzies. bagnisk zupełnie niedostępnych zamieniono na łąki, warte 15,500,000 rs.; około 460,000 dzies. mokradeł, pokrytych zaroślami, i lasów, ulegających gniciu, których wzrost przez to się wzmocnił. Stanowią one dziś wartość 9,200,000 rs. Dalej: około 520,000 dzies. cennych i pięknych lasów, przeważnie skarbowych, które nie miały zbytu z braku komunikacyi. Obecnie drogi spławne odległe są tylko o milę. Wartość tych bogactw naturalnych wynosi 26,000,000 rs. Około 100,000 dzies. ziemi ornej i ogrodowej, która nie była zdolna do uprawy skutkiem nadzwyczajnej wilgoci lub położenia na wyspach nieprzystępnych. Dziś zaliczono ją do najlepszej gleby poleskiej i oceniono na 5 mil. rs. Wreszcie na przestrzeni około 1,070,000 dzies. (5,500,000 rs.) niedogodnych do uprawy z wielu względów usunięto wszelkie nieprzyjazne warunki. Ogólna wartość 2,460,000 dzies. w granicach obszarów skanalizowanych, stanowi 61—63 miliony rs., czyli po 26 rs. dziesięcina, gdy przed osuszeniem ceniono je najwyżej po 5 rs.

Tym sposobem kanalizacya, na którą wydano trzy miliony rubli, zwiększyła bogactwo Polesia przeszło o 50 milionów rs. Szczególnie wzrosły dochody z siana, koszonego na błotach, przedtem niezdatnych do użytku. Łąki skarbowe oddawane są w dzierżawę wyłącznie włościanom. Komunikacya w wielu miejscowościach, dawniej zupełnie niemożliwa na wiosnę i w jesieni, dziś rozwinęła się i uprościła znacznie. Sama ekspedycya kanalizacyjna wybudowała 132 wiorsty dróg gruntowych i 407 mostów. Wreszcie, dzięki osuszeniu gruntów, przerznięto całe Polesie kolejami żelaznemi w dwu kierunkach, które znacznie zmieniły fizyognomię i stosunki ekonomiczne kraju.

Jak rzekliśmy, studya pierwotne wykryły znaczne bogactwa mineralne, mianowicie w południowej części Polesia rudę żelazną, zawierającą 57% żelaza czystego, nadto — pokłady węgla kamiennego, grafitu, granitu, kwarcu itd. Leżało to wszystko dotychczas nietknięte. Dopiero w końcu roku 1895 zawiązała się spółka ziemian miejscowych, której zadaniem jest wyzyskanie tych bogactw. Na czele stowarzyszenia akcyjnego stanęli pp.: S. ks. Lubomirski, hr. Uwarow i S. Lisicki. Spółka ma płacić każdemu właścicielowi ziemi po 30 rs. rocznie za dziesięcinę tam, gdzie się znajdą odpowiednie warunki dla eksploatacyi. Wypłata będzie uiszczana w ciągu pierwszych lat pięciu nie gotówką, lecz akcyami. Tak więc bez żadnego ryzyka ziemianie stają się uczestnikami przedsiębiorstwa. Obecnie już przeszło 50 właścicieli ziemskich wyraziło gotowość przystąpienia do tej organizacyi przemysłowej. Dobra ich ogółem obejmują 400.000 dziesięcin ziemi i 200,000 lasu. Spółka, w miarę rozwoju, ma urządzać własne huty żelazne, odlewnie i inne fabryki, tudzież wybuduje niezbędne koleje dojazdowe.

Mamy tedy zaranie nowego życia, nowych stosunków ekonomicznych na Polesiu; zjawisko owo jest tembardziej znamienne, że na czele przemysłu kopalnianego i fabrycznego stanął żywioł ziemiański, i to tam, gdzie najdłużej był odpornym na wszelkie wpływy kultury, gdzie stale hołdował rutynie i usypiał wszelkie zarodki swej energii. Czy starczy mu sił i temperamentu przedsiębiorczego w tem wielkiem zadaniu, nie będziemy w obecnej chwili wyrokowali. Notujemy sam fakt doniosły. Każe on przypuszczać, że przemysł na Polesiu rozwinie się szeroko, jako nieuniknione następstwo podbojów kulturalnych, i bez względu, czy ta lub inna grupa organizatorów i kierowników wytrwa w pochodzie produkcyi.

Zen. Piet.

W DALI.

Radom. W sprawozdaniu czytelni bezpłatnej za r. z. spotykamy statystykę książek czytanych. Wydano czytelnikom książek 10,060 w języku polskim i 125 tomów w rosyjskim. Z ogólnej liczby 10,185 tomów wydano w obu językach: a) dzieł naukowych i popularno-naukowych 268, b) moralno-religijnych 66, c) dla młodzieży 320, d) beletrystycznych 625, e) roczników pism peryodycznych 730. Z beletrystyki rozchwytywaną była trylogia Sienkiewicza. „Potop“ miał 86 czytelników, „Ogniem i mieczem“ 72, „Pan Wołodyjowski“ 33; następnie „Lalka“ Prusa 26, Kraszewskiego „Na królewskim dworze“ 21, „Rodzina Połanieckich“ i Rogosza „Grabarze“ po 18, „Bez dogmatu“ 16, „Nafta“ Sewera 11.— Ludwik hr. Plater, właściciel fabryk żelaznych w Niekłaniu, Bliżynie i Białaczewie, kupił od akcyjnego Towarzystwa metalurgicznego francuskiego rozległe, około 600 włók wynoszące, majątki fabryczne Chlewiska i Pawłów. — O trzy wiorsty od Radomia, w osadzie fabrycznej „Firlej,“ pożar zniszczył zupełnie wielki młyn parowy.

Kielce. Przy magistracie m. Kielc urządzona będzie stacya mikroskopowa dla badania mięsa,

nabiału i innych produktów spożywczych. Na u-rządzenie wzmiankowanej stacyi z funduszów miejskich asygnowanych będzie 535 rs. — Z dn. 13 maja wchodzą w życie nowe specyalne taryfy dla Kielc i Radomia na odległość 45 wiorst. Według taryfy tej opłata w wysokości 3 kop. za wiorstę w kl. I, 2 w II i 1 w III pobierać się będzie: z Kielc do Jędrzejowa i Bzina; z Radomia do Garbatki i Bzina. Z wprowadzeniem letniego rozkładu pociągów na drodze Dąbrowskiej, do Kielc przychodzić będą od strony Iwangrodu trzy pociągi i tyleż od Dąbrowy. — Do Skały w ostatnim czasie dostawiono 11 wagonów tatarki, przywiezionych z wewnętrznych guberuij Cesarstwa. Tatarka ta jest używana do wyrobu słynnych krupek i kaszy krakowskiej, cieszących się wielkim popytem na rynkach gub. Kieleckiej, Radomskiej i Warszawskiej. Wyrobem krupek i kaszy trudnią się mieszczanie osady Skały już od wieku i rozwożą swój produkt po okolicznych jarmarkach.

Kijów. Widoki urodzaju tegorocznego są w całym kraju naddnieprzańskim bardzo dobre. Oziminy przechowały się znakomicie. Ceny zboża na tegorocznych kontraktach były, w porównaniu z r. z., znacznie lepsze. Za pszenicę płacono 65—74 kop. za pud, za żyto 45—48 kop., za owies 48—56 kop. — *Kijewlanin* podał ciekawe dane o własności ziemskiej w gub. Kijowskiej. Okazuje się, że jest tam ogółem majątków szlacheckich 2,466 z obszarem 1,679,508 dziesięcin, z tych 810 majątków należy do Polaków (780,023 dzies.), czyli majątki polskie stanowią 22% wszystkich majątków szlacheckich w gub. Kijowskiej, przestrzeń zaś owych majątków wynosi około 46% obszaru wszystkich majątków szlacheckich. Najwięcej majątków polskich jest w pow. Berdyczowskim (198), następnie w pow. Skwirskim 83, w Taraszczańskim 70, w Wasylkowskim 12, w Radomyskim 103, Lipowieckim 154, Humańskim 57, Kijowskim 28, Zwinigródzkim 22, Kaniowskim 28, Czehryńskim 50, Czerkaskim 12. Jeśli porównać obecnie własność polską w gub. Kijowskiej z takąż własnością w r. 1872, to okazuje się, iż w ciągu dwudziestu pięciu lat własność polska zmniejszyła się o 524,233 dzies., liczba zaś majątków o 324. — Na miejsce spalonego niedawno do szczętu teatru miejskiego, postanowiono wznieść w Kijowie nowy gmach okazały. W tym celu zarząd miasta ogłasza międzynarodowy konkurs na plan projektu, z pięciu nagrodami: 2,500, 1,500, 1,000, 700 i 300 rs. Koszt budowy nowego teatru nie powinien przenosić 450 tysięcy rubli.

Petersburg. Między *Now. Wrem.* a *Petersb. Wiedomostiami* toczy się oddawna ostra polemika, do której pierwszy z tych dzienników dał znowu powód następującym artykulikiem: „Dość zabawny widok przedstawia dokonywający się obecnie zwrot w prasie polskiej i niemiecko-baltyckiej względem odnowionych „*St. Pet. Wied.* W styczniu i lutym gazeta księcia Uchtomskiego budziła zachwyt i gorące sympatye w umysłach publicystów obcoplemiennych. Cytaty z jej artykułów, pokrywanych milczeniem przez publiczność rosyjską, zapełniały szpalty pism niemieckich i polskich. W dziennikach nadbaltyckich czytaliśmy, że do kraju tego przyjeżdżał pełnomocnik nowej redakcyi, baron F., dla jednania sympatyi i ogłoszeń tej gazecie. *Dziennik poznański* (nr. 61) zaświadczył, że w klubach polskich w Warszawie zbierano podpisy na zbiorową dla niej prenumeratę. Nagle objawiła się zmiana. O kresach nadbaltyckich drukują *St. Pet. Wied.* artykuły p. Baszmakowa, znawcy stosunków miejscowych. Co się tyczy stosunków rosyjsko-polskich, to młoda redakcya pospieszyła cofnąć dużo z tego, co mówiła z początku, i oto stopień sympatyi dla niej patryotów polskich i niemieckich obniżył się znacznie. W perspektywie zdaje się zarysowywać jakiś kłopot i oczyszczanie miejsca na dwu stołkach.“ Na to *St. Pet. Wied.* odpowiadają: „Nie znajdując w żadnym organie nadbaltyckim oryginału artykułu o delegowaniu barona F., uprzejmie prosimy redakcyę *Now. Wr.*, żeby zechciała wskazać, skąd mianowicie zaczerpnęła ową o-szczerczą informacyę. Jesteśmy przekonani, że redakcyi, powołującej się na źródło nam nieznane, przyjdzie z łatwością wskazanie go, a to dopomoże nam do użycia środków, wskazanych przez prawo przeciwko tym, co drukują fakty zmyślone.“

Odesa. Przywrócenie stosunków handlowych pomiędzy Rosyą a Bulgaryą posiada doniosłe znaczenie. Parowce linii anatolijskiej będą zachodziły, idąc z Odesy lub do Odesy, do Warny i Burgasu. W ten sposób stosunki handlowe pomiędzy Rosyą i Bulgaryą będą bezpośrednie, z pominięciem komór austryackich i rumańskich. Podróż z Odesy do Burgasu trwa kilkanaście godzin, do Warny zaś, bliżej położonej, o kilka godzin krócej. Z Burgasu do Sofii podróż koleją przez Filipopol trwa obecnie całą dobę, lecz po ukończeniu bezpośredniej linii kolejowej z Warny do Sofii, skróci się do 12 godzin. Wogóle z Odesy do Sofii podróż nie będzie wynosiła doby. Obecnie Bulgarya zalana jest towarami austryackimi, niemieckimi i angielskimi, z Rosyi dowożona jest nafta i konopie surowe lub w towarze. Tymczasem możnaby przewozić perkale, tkaniny bawełniane, żelazo lane i kute, wina, wódki, papier, świece. Do Bulgaryi przywóz towarów wart jest rs. 40,000,000, z czego, jak twierdzą *Birż. Wied.*, połowa przynajmniej mogłaby się dostać Rosyi. Samej broni, ładunków Bulgarya potrzebuje na 10 do 12 milionów. Przemysłowcy żelaza mogliby w Bulgaryi świetnie rozwijać swą działalność. Stosunki handlowe z tym krajem utrudnia tylko brak kredytu. Wkłady w bankach bulgarskich wynoszą rs. 50,000,000, lecz suma ta zebrana jest z kwot nadzwyczaj drobnych, niema tam bowiem bogatej klasy kupieckiej lub przemysłowej, a zamożniejszą stanowią tylko posiadacze ziemscy.

KRONIKA.

Budżet miasta. Bilans głównego i dodatkowego budżetu m. Warszawy na r. b. wynosi ogólną sumę dochodów i wydatków rs. 5,713,466 kop. 55. Z porównania budżetów Warszawy za lat 7 wypada, iż w ciągu tego czasu budżet powiększył się o rs. 1,476,016.

Szkoły. Według doniesienia *Nowosti*, sprawę o-twarcia wydziału lekarskiego w Odesie załatwiono pomyślnie.

— Urzędowa *Wiener Ztg.* ogłasza rozporządzenie austryackiego ministra wyznań i oświaty w sprawie nostryfikacyi dyplomów doktorskich, uzyskanych przez kobiety na wydziałach lekarskich za granicą. Kandydatka musi wykazać, iż jest obywatelką austryacką, liczyć lat 24, lub przynajmniej w tym samym roku, w którym wniosła prośbę o nostryfikacyę, kończyć 24 rok życia, złożyć egzamin dojrzałości w jednem z austryackich gimnazyów państwowych, przez dziesięć półroczy uczęszczać na wydział lekarski jednego z zagranicznych uniwersytetów, którego urządzenia są takie same, jak uniwersytetów austryackich i wreszcie wykazać, że w czasie studyów zachowywała się nienagannie. O dopuszczeniu do nostryfikacyi, nadzwyczajnych ułatwieniach lub uwzględnieniach, orzeka kolegium profesorów wydziału lekarskiego. Uchwałę, dopuszczającą nostryfikacyę, należy złożyć ministeryum oświaty do zatwierdzenia. Od orzeczenia nie dozwalającego nostryfikacyi, może kandydatka wnieść rekurs do ministeryum oświaty. Kandydatka, której dozwolono nostryfikacyi, ma złożyć wszystkie teoretyczne i praktyczne egzaminy ścisłe (rygoroza), z wyjątkiem egzaminów wstępnych z historyi naturalnej. Wymagania od kandydatek mieć należy takie same, jak od męskich kandydatów. Skoro kandydatka dopełniła wszystkich tych warunków, należy ją dopuścić do promocyi i wydać jej dyplom doktorski. Rozporządzenie powyższe wchodzi natychmiast w życie.

— *Birż. Wied.* donoszą, iż z liczby przedmiotów, których umiejętność jest niezbędna do wstąpienia do Instytutu prawniczego w Petersburgu, wykreślono język grecki, a natomiast powiększono wymagania z nauk przyrodniczych.

— Tenże dziennik donosi, że do ministeryum rol-[illegible] się z podaniem o możliwe przyśpieszenie otwarcia średnich szkół rolniczych dla [illegible]

— Uczniowie szkół prywatnych realnych pp. Trejdosiewicza i Górskiego, według doniesienia *Warszawskiego Dniewnika*, będą mogli w r. b. zdawać e-gzaminy tylko w Łowiczu, albo w Kaliszu. W Warszawie do egzaminów tych uczniowie ci dopuszczeni nie będą.

Koleje i komunikacye. *Petersb. Wied.* przytaczające ze źródeł urzędowych dane o ruchu towarowym na kolejach za styczeń r. b., zaznaczają, iż pod względem ilości pociągów pierwsze miejsce w państwie zajmowała kolej Wiedeńska (Warszawa — Sosnowice 24 pary pociągów na dobę), następnie zaś kolej Riazańsko-Uralska (19 par pociągów na dobę).

— Budowę kolei wązkotorowej z Pragi do Marek i Pustelnika już rozpoczęto. Linia ta będzie przedłużona w jesieni lub na wiosnę r. p. do Radzymina. Wagony dla tej kolei budują się w warsztatach inż. Hussa. Na początek będzie 20 powozów pasażerskich i 30 towarowych. Wagony osobowe będą szersze, niż na kolei Wilanowskiej, a mianowicie każda ławka pomieści cztery osoby. Do 1-go maja linia ma być ukończona do Pustelnika.

— Według doniesień *Kijewlanina*, Kamieniec Podolski, na żądanie władzy wojskowej, ma być niebawem ze względów strategicznych połączony koleją z jedną ze stacyj dróg żelaznych Południowo-Zachodnich.

— Szybkość pociągów towarowych na tutejszych drogach żelaznych departament dróg żelaznych u-stanowił jak następuje: na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej 29,97 wiorst na godzinę, na Dąbrowskiej 25,01 wiorsty, na Terespolskiej 26,03 wiorsty, na Nadwiślańskiej 23,01 wiorsty, na Fabryczno-Łódzkiej 20,04 wiorsty, łącznie z postojami na stacyach.

Wystawy. Dnia 1-go maja będzie otwarta w Genewie wystawa narodowa szwajcarska, na 47 grup podzielona, która ma zobrazować produkcyę i działalność związku helweckiego. Wystawa obejmie: przemysł, sztuki piękne (zabytki starożytne i dzieła współczesne), wykształcenie i wychowanie publiczne, rolnictwo itd. Szczególnie ma się odznaczyć hala machin, z przeważnem uwzględnieniem motorów elektrycznych, oraz „wioska szwajcarska“ (już prawie gotowa), w której będą zgromadzone wzory budynków mieszkalnych, typy ludności górskiej itp. Kolej wązkotorowa, długości $2\frac{1}{3}$ kilometra, połączy różne działy tej rozległej wystawy.

— Rada miejska w Rydze przeznaczyła 2,000 rub. na urządzenie podczas zjazdu archeologicznego wystawy archeologicznej łotysko-estońskiej, tyleż wyasygnowała szlachta.

Zdrowie publiczne. Ministeryum spraw wewnętrznych postanowiło wyasygnować Towarz. lekarzy rosyjskich rs. 10,000 jednorazowo i rs. 3,000 corocznie na urządzenie sanatoryum dla suchotników. Tow. wkrótce rozpocznie budowę nowego zakładu.

Telegrafy i telefony. Zarząd tutejszej głównej stacyi telegraficznej podniósł oddawna poruszony już projekt otworzenia w naszem mieście filij stacyi telegraficznej. Filie przyjmować będą depesze za zwykłą opłatą, rozsyłanie zaś depesz odbywać się będzie, jak dotąd, z głównej stacyi. Zarząd stacyi poczynił już kroki o wyszukanie potrzebnych lokali dla tych filij w okolicy Muranowa i w dzielnicy placu św. Aleksandra. Na początek filie funkcyonować będą tylko w dzień. Istnieje również projekt otwarcia trzeciej filii w dzielnicy wolskiej.

— Komunikacya telefoniczna pomiędzy Petersburgiem a Moskwą będzie ostatecznie ukończona — jak donosi *Pet. Listok* — na początku maja.

Meteor. Mieszkańców Rytra nad Popradem, w pow. Nowosandeckim w Galicyi, obudził w nocy o godz. 2-ej z dnia 21-go na 22-gi z. m. huk niezwykły, podobny do wystrzału armatniego. Okazało się, że powodem huku był meteor, który zjawiwszy się w stronie północno - zachodniej, dążył na południowy wschód, i jak się obserwatorowi zjawiska tego wydawało, niedaleko wsi, w wysokości może 50 metrów eksplodował, wywoławszy takie wstrząśnienie powietrza, że aż szyby w mieszkaniach zabrzęczały. Meteor był światła niebieskawego; stróż nocny dworski, widząc zjawisko niezwykłe, po eksplozyi meteoru z przestrachu na ziemię runął. Niewątpliwie ten sam meteor widziano w gub. Lubelskiej: Tejże nocy, o god. 2-ej min. 15, w Popkowicach, w pow. Janowskim, ukazało się na niebie jakby słońce, z którego po kilku minutach wytrysła niezliczona ilość promieni podłużnych i spadających na dół; promienie te były ogniste. Punktualnie o godz. 2-ej i pół mieszkanie nasze (słowa korespondenta *Gazety War-*

szawskiej) zostało zupełnie oświetlone tem zjawiskiem tak, że nawet szpilkę na podłodze można było znaleźć, i zarazem z żoną uczuliśmy nadzwyczajne gorąco, sprawiające nawet duszność; rozświetlenie to nie trwało dłużej nad jedną minutę i zaraz znikło razem ze zjawiskiem."

Pożar. W kuźni „Hanowersko," należącej do galicyjskiego gwarectwa naftowego w Potoku (w pow. Krośnieńskim), zrządził pożar szkodę około 60,000 złr. Spłonęły kosztowne urządzenia mechaniczne. Przyczyną pożaru było rozlanie w pobliżu ogniska ropy, którą opalano kocioł parowy.

Wypadek. W nocy z dnia 4-go na 5-y b. m. pociąg towarowy kolei Nadwiślańskiej, idący z Iwangrodu do Warszawy, uległ rozbiciu w pobliżu stacyi Pilawa. Ośm wagonów uległo zgruchotaniu, reszta znacznemu uszkodzeniu. Z ludzi nikt szwanku nie poniósł. Przyczyna wypadku dotychczas niewyjaśniona: zdaje się, że wykolejenie nastąpiło wskutek rozluźnienia się szyn. Straty duże, gdyż oprócz szkód w wagonach i towarach, znaczna przestrzeń plantu jest uszkodzona.

Odpowiedzi Redakcyi.

Stałej prenumeratorce. Z. Pietkiewicz.

Radomiakowi. Początek „Lit. porówn." z przesyłką rs. 1 k. 40. Książki Krzywickiego z takimi tytułami nie istnieją; istnieje podobna „Ludy," ale wyczerpana. Najobszerniejsza gramatyka Małeckiego 2 tomy rs. 4 kop. 50; geografii niema; mapa Kasprzykiewicza lub Gotza po kop. 50. Żądanie „dzieł najprzystępniejszych z dziedziny przyrodniczej" jest tak ogólne, że nie możemy na nie odpowiedzieć.

A. Krz. 1) Widocznie owa *Encyklopedya* ma albo bardzo cierpliwych, albo bardzo młodych abonentów, skoro po sześciu latach doprowadziła się do lit. *C* bez liczniejszego z ich strony protestu. 2) Ten wzgląd, że ze stołu wielkich zysków spadają okruszyny zarobku dla miejscowych sił roboczych, nie może być ani jedyną, ani nawet główną miarą oceny społecznego charakteru ludzi, którzy są i być chcą klinem germańskim, wbitym w nasz pień.

Zbłąkanej duszy. Ma Pani zupełną słuszność, i trzebaby cofnąć się o kilkanaście wieków wstecz, ażeby znaleźć stanowisko, z któregoby ta uczciwa kobieta potępiona być mogła. W tej sprawie niema sporu.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 29 Марта 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8